

„KRÓLEWNA ŚNIEŻKA I ŁOWCA”: NOWE ŚRÓDZIEMIE?

NOWA Fantastyka

06 (357) 2012 MIESIĘCZNIK

CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



FANTASTYCZNA
PRZYGODA
OD AUTORA
„GRY ENDERA”

OPOWIADANIA:

ANNA BRZEZIŃSKA

JEFFREY FORD

BARTOSZ DZIAŁOSZYŃSKI

KEN LIU

DAMIAN DRABIK

CHARLIE JANE ANDERS

+ „METRO 2033”

FACECI W CZERNI:
AGENCI PARANOI

WYWIAD Z ROBERTEM
M. WEGNEREM

RÓŻNI JAK KLONY

PRÓSZYŃSKI
MEDIA

INDEKS 358398



© Twentieth Century Fox 2012

MISJA „PROMETEUSZA”

PREQUEL „OBCEGO” WCHODZI DO KIN

KORZENIE OBCEGO

MICHAŁ HERNES

SKĄD CZERPALI INSPIRACJE TWÓRCY „OBCEGO”?
JAK EWOLUOWAŁ JEDEN Z NAJSŁYNNIEJSZYCH
POTWORÓW W HISTORII KINA?



Znany reżyser John Landis wspomina, że gdy pierwszy raz oglądał „Obcego”, odniósł wrażenie, że to remake horroru „It! The Terror from Beyond Space” i kiczowatej „Planety Wampirów” Mario Bavy. Choć trudno w to uwierzyć, Ridley Scott i scenarzysta Dan O’Bannon zaprzeczali, by kiedykolwiek obejrzeni „Planetę...”. Nie ukrywali natomiast, że wpłynął na nich pierwszy z wymienionych filmów, w reżyserii Edwarda L. Cahna. Pojawił się w nim motyw kosmicznej załogi zdziesiątkowanej przez obcą formę życia. W filmie Bavy wszystko rozpoczęło się od reakcji na sygnał radiowy i lądowania na tajemniczej planecie, gdzie nastąpił ciąg przerażających zdarzeń. Zmarli kosmonauci przemienili się w zombie, a żywych opętały siły nieczyste bądź istoty będące nieznaną formą życia. Na tym podobieństwa się kończą. „Planeta Wampirów” została zdecydowanie przyćmiona przez „Obcego”. Landis doszedł do wniosku, że to film o nawiedzonym domu, którego akcja rozgrywa się w kosmicznej scenerii.

STRASZNE NOWE ŚWIATY

Scott należy do zwolenników filmów SF w klimacie „2001: Odysei kosmicznej”, ale podobno decyzję o zabraniu się za „Aliena” podjął w czasie oglądania „Gwiezdných wojen”. Pozwoliło mu to zrozumieć, że widownia oczekuje emocjonującego filmu o odkrywaniu nowych światów. Początkowo nie wykluczał, że czarny charakter będzie w nim mężczyzną z ciałami dzieci na korpusie lub po prostu zbuntowanym robotem. Zmienił zdanie pod wpływem szkiców H.R. Giger’a. Dzięki temu narodziła się, między innymi, kultowa scena z kosmitą wychodzącym z brzucha Johna Hurta, którego bardzo bawiło jej kręcenie. Ostateczny efekt uznał jednak za przekonujący i budzący grozę. Po latach aktor sparodiował sam siebie w „Kosmicznych jajach” Mela Brooksa. Do tej sceny nawiązano także w kempowych „Humanoidach z głębi”, których producentem był Roger Corman. Podobnych gestów było dużo więcej. W animacji „Planeta 51” z 2009 roku miniaturowa wersja ksenomorfa była zwierzęciem domowym. Obcy pojawił się gościnnie nawet w jednym z odcinków komediowego serialu animowanego „Family Guy”, w którym... przekomicznie zabrał głos.

GENIUSZE I EKSCENTRYCY

Do współpracy przy „Obcym” Scott zaangażował dwójkę twórców, którzy kilka lat wcześniej mieli pomagać Alejandro Jodorowskiemu przy awangardowej ekranizacji „Diuny” Franka Herberta. Chilijczyk chciał zaangażować Dana O’Bannona (późniejszego scenarzystę „Obcego”) do efektów specjalnych, gdyż spodobała mu się jego praca przy „Ciemnej gwiazdzie” Johna Carpentera. *Był dla mnie prawdziwym geniuszem i nie myliłem się* – wspominał Jodorowsky. O surrealiście H.R. Gigerze dowiedział się natomiast od Salvadora Dali. *Sztuka Szwajcara jest schyłkowa, chora, wspinała i wręcz idealna do stworzenia planety i siedziby Harkonnena. Opracował on projekt zamku wraz z planetą w klimacie metafizycznego horroru, który ogromnie mnie poruszył* – dodał ekscentryczny filmowiec. Z jednej strony po-



zostaje żałować, że nic z tego nie wyszło, ale z drugiej cieszyć, że powstał „Obcy”, który nie przestaje fascynować i stał się jedną z ikon kina grozy.

H.R. Giger odpowiada za wygląd drapieżnego ksenomorfa. Podobno wielokrotnie naciskano na niego, by zmieniał swoje propozycje ze względu na nadmierną seksualność. Kształty podpowiadał mu ludzki układ kostny, w który wprowadził elementy technologiczne – artysta nazywa to sztuką biomechaniczną. Kosmita miał posiadać oczy, ale ostatecznie zostały one usunięte, żeby wyglądał bardziej przerażająco. Warto odnotować, że aktorzy nie widzieli go przed wejściem na plan zdjęciowy. A gdy się im zaprezentował, na ich twarzach malowało się autentyczne przerażenie.

W OBLICZU NIEZNANEGO

Agnieszka Ćwikiel tak pisała o „Obcym” w „Próbie opisu ikonograficznego filmów science fiction”: *Sposób przedstawiania i działania nieznanego (które zazwyczaj przypomina monstrum Frankensteina) jest rodem z konwencji filmów grozy bezboleśnie zderzonych z nowoczesną technologią lub codziennością. To przedziwne pomieszczenie konwencji wizualnych horroru i science fiction jest najwyraźniej dostrzegalne w „Obcym – ósmym pasażerze Nostromo”. (...) Film Ridleya Scotta przedstawia obrazy natychmiast rozpoznane: obok sterylnych pomieszczeń statku posiada jeszcze ciemne pomieszczenia towarowe, przypominające wnętrza gotyckiego zamku – tryb poszukiwania Nieznanego w całości realizuje się w konwencji przejętej przez fantastykę z romantycznej powieści grozy.*

Susan Sontag powiedziała o filmach SF, że dekoracje zawierają w nich więcej wartości etycznych niż ich bohaterowie. Rzeczy, a nie bezradni ludzie, są nosicielami etyczności, gdyż raczej je, a nie ludzi, uważamy za źródło potęgi. Według tych filmów człowiek pozbawiony owych wytworów staje się nagi. Coś w tym jest. Trudno sobie wyobrazić walkę ze straszli-

wym stworem gołymi rękami, a końcowy efekt wyszedł kapitalnie.

Zachwyty Landisa nie powinny więc nikogo dziwić: *Jak to pięknie zostało zrobione! Uwielbiam zwłaszcza scenę z udziałem Johna Hurta. Paradoksalnie, ten fragment jest genialny nie dzięki lalce, która wprawia widzów w osłupienie. Za kluczową sprawę uważam reakcje aktorów, czyli niezwykle autentycznie wyglądający lęk na ich twarzach. Z drugiej strony, nie ukrywam, że bardziej lubię drugą część, wyreżyserowaną przez Jamesa Camerona. Twórca „Avatara” cudnie przekształcił ten horror w kino akcji. Wiem, że to świętokradztwo, ale tak właśnie myślę.*

Swoimi wrażeniami po obejrzeniu filmu Scotta podzielił się również Guillermo Del Toro: *Sądzę, że w czasie kręcenia tej*



sceny reżyser złamał wszystkie możliwe zasady odnośnie przedstawienia gościa w kostiumie. Kostium został zaprojektowany w ten sposób, żeby uległ zniszczeniu i Obcy się z niego wydostał – mówi twórca „Labiryntu Fauna”. Obcy Giger to jeden z jego ulubionych potworów i nie jest w tym osamotniony. Kosmita zafascynował szerokie rzesze widzów i ludzi kina. Wielu filmowców marzyło o wyreżyserowaniu którejś części legendarnej serii.

OBCIE IMIĘ RÓŻY

Bliski tego był nowozelandzki reżyser Wincent Ward, autor nagrodzonego

Oskarem za efekty specjalne filmu „Między piekłem a niebem”. Przymierzano go do realizacji trzeciej odsłony zmagania z kultowym monstrem; napisał nawet do niej scenariusz. Nie jako pierwszy i nie ostatni. Scenariuszy powstało sporo i większość z nich trafiła do kosza – tłumaczy. – *Jedna z wersji wyszła spod pióra Williama Gibsona, którego uważam za rewelacyjnego pisarza, ale mówiąc szczerze nigdy jej nie przeczytałem. Nie chciałem tego robić, bo miałem w głowie własny pomysł i zamierzałem się go konsekwentnie trzymać. Z drugiej strony, kiedy zaproponowano mi zrobienie tego filmu, początkowo mówiłem, że absolutnie nie mam zamiaru angażować się w ten projekt. Producenci poprosili drugi raz i znowu im odmówiłem. Później prze-myślałem sobie całą sprawę i doszedłem do wniosku, że warto przedstawić własną koncepcję, bo nic na tym nie stracę, a mogę zyskać. Według jego planów akcja miała się rozgrywać na planecie zamieszkaanej głównie przez mnichów. W rozmowie ze Stopklatką opowiadał: Dużą wagę przywiązują oni do tradycji i wszystko wytwarzają ręcznie. Oczywiście wymaga to sporego wysiłku fizycznego, odwagi, odporności na cierpienie i przede wszystkim – trudnej umiejętności współpracy. To w końcu specyficzne środowisko, taki trochę busz. W mojej koncepcji Obcy jest dla nich diabłem, który powrócił jako wyraz proroctwa. Proroctwo zostało zapisane kilkaset lat wcześniej w księgach. Wydarzyło się wtedy coś strasznego, co nagle powróciło i muszą sobie jakoś z tym poradzić.*

Pełny polski tytuł filmu Scotta – „Obcy – ósmy pasażer Nostromo” – jest mylny, bo sugeruje, że łącznie z ksenomorfem na pokładzie znajduje się ósemka pasażerów. To nieprawda; tłumacze prawdopodobnie zapomnieli o dziewiątym pasażerze, czyli kocie.

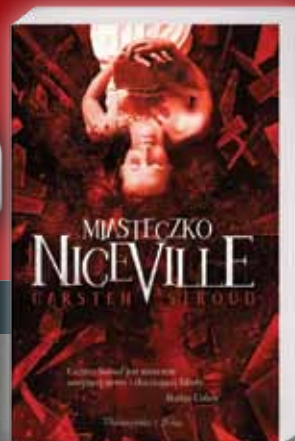
Ostatecznie Ward nie dogadał się jednak z producentami. Miał im za złe, że interesuje ich film utrzymany w klimacie poprzednich części, podczas gdy on chciał nakręcić coś nowego i oryginalniejszego. Nie interesował go też sukces komercyjny, więc drogi jego i wytwórni musiały się rozejść. Projekt Nowozelandczyka został okrzyknięty przez portal Timeonline mianem najbardziej popularnego filmu SF, którego nie udało się zrealizować. Niezależnie od tego, koncepcja Warda podzieliła internautów. Jeden z obrońców jego pomysłu argumentował, że mógłby się okazać ciekawym połączeniem „Obcego” z „Imieniem Róży”. Czy jednak stałby się równie kultowy, jak dzieło Ridleya Scotta? Raczej nie. ■

TERRY PRATCHETT AUTOREM SF – OCENIAMY NOWĄ POWIEŚĆ

NOWA Fantastyka

07 (358) 2012 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI

CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



WSPÓŁCZESNE
„TWIN PEAKS”,
NAPISANE W STYLU
STEPHENA KINGA

ZGUBA NIETOPERZA

– CZŁOWIEK, KTÓRY ZŁAMAŁ
KRĘGOSŁUP BATMANOWI

WYWIAD

Z OJCEM BANE'A

CATWOMAN

– CZY ANNE HATHAWAY
DORÓWNA MICHELLE
PFEIFFER?

NIESAMOWITY

SPIDER-MAN

ZAGADKA KUBY

ROZPRUWACZA

LAMUS: CO KRYJE

WNĘTRZE ZIEMI

OPOWIADANIA:

MICHAŁ CETNAROWSKI

PETER WATTS

JANUSZ STASIK

BRAD R. TORGENSEN

MRO CZNY RYCERZ
ZAMKNIĘCIE FILMOWEJ TRYLOGII

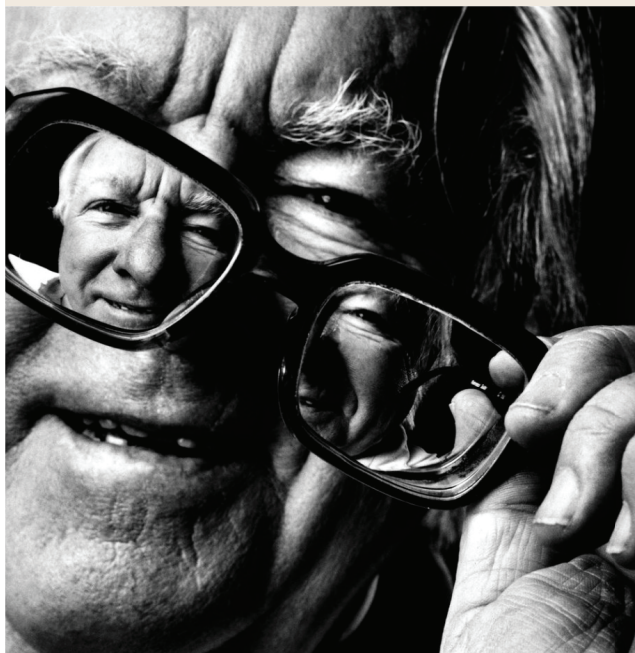
© 2012 Warner Bros. Entertainment Inc.

PROSZYŃSKI
MEDIA

INDEKS 358398

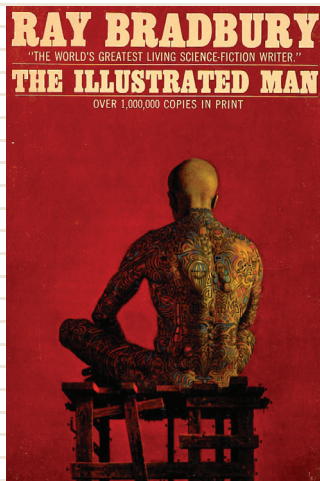
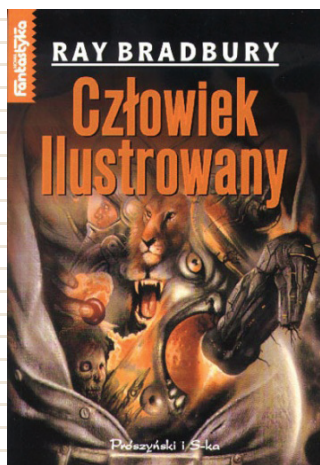


PRZYSZŁOŚĆ JAK MALOWANA



PRZEMYSŁAW PIENIAŻEK

5 CZERWCA ZMARŁ RAY BRADBURY. OLBRZYMIĄ POPULARNOŚĆ PRZYNIOSŁA MU POWIEŚĆ „FAHRENHEIT 451”, CHOĆ FUNDAMENT JEGO TWÓRCZOŚCI STANOWIŁY OPOWIADANIA, TAKŻE TE WCHODZĄCE W SKŁAD KLASYCZNYCH DZIŚ „KRONIK MARSJAŃSKICH” ORAZ TOMU „CZŁOWIEK ILUSTROWANY”.



Urodzony 22 sierpnia 1920 roku Raymond Douglas Bradbury zaliczany jest do światowej czołówki pisarzy science fiction, chociaż sam wielokrotnie podkreślał, że to gatunkowe przyporządkowanie nie do końca oddaje prawdziwy charakter jego twórczości, obejmującej między innymi prozę, poezję, sztuki teatralne, eseistykę oraz scenariusze filmowe. Wiele z jego utworów posłużyło za kanwę komiksów, filmów, programów telewizyjnych, sztuk teatralnych i słuchowisk radiowych. Laureat World Fantasy Award, Nagrody im. Brama Stokera oraz Grand Master doskonałości warsztat pod okiem Henry’ego Kuttnera oraz Roberta Heinleina. W 1947 roku ukazał się jego debiutancki zbiór „Dark Carnival”, składający się z opowiadań publikowanych na łamach magazynu „Weird Tales”. Dużą popularność przyniosły mu „Kroniki marsjańskie” (1950) – kolekcja nastrojowych historii przedstawiających pierwsze próby zasiedlania Marsa przez Ziemiaków i ich konsekwencje, często bolesne dla ludzi. Relacje z marsjańskich krucjat oraz kolonizatorskich wypraw, podobnie jak utwory zawarte w „Człowieku Ilustrowanym”, do dziś urzekają poetycką aurą. Fundamentem opowiadań Bradbury’ego jest ciągłe badanie granic człowieczeństwa, połączone z pytaniem o możliwości ingerencji ludzkości w sprawę wszechświata.

PIKNIK NA SKRAJU DROGI

Wyobraźmy sobie następującą sytuację: w trakcie wrześnieowej, pieszej wędrówki spotykamy na swej drodze tajemniczego jegomościa poszukującego pracy w odwiedzanych miasteczkach. Mężczyzna przykuwa uwagę dziecięcą twarzą, kontrastującą z masywnym ciałem ukrytym pod zbyt grubą jak na tę porę roku warstwą odzieży. Świadomi jego trudów dzielimy się skromnym prowiantem z nieznanym, choć ten ostrzega, że za gościnę możemy otrzymać wątpliwą zapłatę. Nie zważając na dziwną aurę otaczającą wędrowca, wsłuchujemy się w jego opowieść, której początki sięgają roku tysiąc dziewięćsetnego. Wtedy to nasz rozmówca trafił pod dach starej wiedeńskiej mieszkającej w domku zagubionym gdzieś w Wisconsin. Po dłuższej chwili zaczynamy się zastanawiać, czy aby nie staliśmy się obiektem żartu. Przybysz utrzymuje bowiem, że kobieta (której poszukuje nieprzerwanie od czterdziestu pięciu lat) przybyła z przyszłości, zamieniając jego dotychczasowe życie w piekło.

Nasz pobłażliwy uśmiech zastyga, gdy nieznanomy rozpina koszulę. Wtedy uświadamiamy sobie, że nigdy wcześniej nie widzieliśmy tak skończonego dzieła sztuki: żywa tkanka narracji szczelnie oplotła ciało wagałundy, pozostawiając jedynie nieliczne wolne miejsca czekające na zagospodarowanie. Mężczyzna zapewnia, że tego „podarunku” nie sposób usunąć – a próbował już papieru ściernego, kwasu oraz ostrza noża. Jednocześnie Człowiek Ilustrowany (bo tak możemy go nazwać) przyznaje, że nie są to zwykłe malunki. Hipnotyzujące, magiczne tatuaże wywołują poczucie dyskomfortu. Nikt przecież nie chce oglądać przyszłych niepowodzeń, chorób czy śmierci. Głos rozsąd-



kupodpowiada, abyśmy jak najszybciej opuścili towarzystwo dziwnego mężczyzny. Jednak inny podszept każe nam zostać, dopóki nie poznamy wszystkich historii – także tej dotyczącej nas samych.

Pierwsze wydanie „Człowieka Ilustrowanego” ukazało się w 1951 r. Po latach stało się jednym z ważniejszych tytułów w bogatym dorobku Bradbury’ego. Oryginalna rama narracyjna tomu (każdy tatuaż jest zaczynem odrębnej opowieści) pozwoliła autorowi na przedstawienie osiemnastu historii z pogranicza SF, fantasy oraz horroru, układających się w fascynującą mozaikę. Pomimo wielu mrocznych fragmentów (widma totalitaryzmu, ksenofobia, antyludzkie prawa oraz łamanie wszelkich przejawów indywidualizmu, także na płaszczyźnie myśli), kolekcja oferuje czytelnikowi sentymalny powrót do przeszłości oraz nostalgiczną wiarę zarówno w odnalezienie sensu istnienia na każdym z możliwych światów, jak również w zbawienną rolę literatury oraz wyobraźni, zdolnych powstrzymać najstraszniejsze wytwory technicznych uniwersów.

PALETA NIEPOKOJĄCYCH SNÓW

Bradbury często poruszał zagadnienie mrocznych ludzkich pragnień ochoczo spełnianych przez mechanizmy przyszłości. W „Marionetkach SA” Braling inwestuje w humanoidalną replikę samego siebie, aby uciec od rutyny małżeństwa. Niestety, syntetyczny sobowtór walczy o swoje prawo do godnego życia, co pociąga

za sobą konieczność wyeliminowania kłopotliwego oryginału. Bohaterowie „Sawanny”, George i Lydia Hadley, wyznają prostą zasadę: nic nie jest zbyt dobre dla ich dzieci. Dlatego fundują swoim pociechom pokój-symulator, projektujący pełnowymiarowe, nad wyraz realne sceny. Kiedy jednak zamiast baśniowych pejzaży na oczach rodziców materializuje się afrykański step nawiedzany przez wygłodniałe drapieżniki, przychodzi czas na zbyt późną refleksję, że pragnienie życia oraz gotowość do jego obrony może być także cechą sztucznej inteligencji. Równocześnie Bradbury zwracał uwagę na bezduszną oraz wyrachowaną dzieci Hadleyów, bez mrugnięcia okiem decydujących się na eliminację dorosłych, gdy ci odmawiają spełniania ich kolejnych wyszukanych zachcianek. Na przykładzie pokoju zdolnego telepatycznie przechwytywać wytwory dziecięcych umysłów, tworząc życie odpowiadające ich pragnieniom, autor „Październikowej krainy” zilustrował problem alienacji zachodzącej w obrębie najbliższej rodziny. Temat banalności zła ukazuje także opowiadanie „Godzina Zero”, w którym dziecięca zabawa w pozaziemską inwazję jest jedynie fasadą kryjącą przygotowywaną w tajemnicy zagładę wszystkich dorosłych.

BATALISTYCZNE MINIATURY

Motywu inwazji stanowi także kanwę przewrotnego opowiadania „Betoniarka”. Kiedy marsjańskie wojska rozpoczynają szturm na naszą planetę okazuje się, że Ziemia nie dość, że nie stawiają zbrojnego opo-

ru, to w dodatku inaugurują uroczystości powitalne na cześć zdeorientowanych najeźdźców. Kosmici nie podejrzewają, że za szerokimi uśmiechami wiwatujących mas ukrywa się jedna z najpotężniejszych broni – chłodno wykalkulowany marketing (wszak na inwazji można doskonale zarobić), będący, zgodnie z sugestią autora, rdzeniem konsumpcjonistycznej kultury Stanów Zjednoczonych. Satyryczny wydźwięk historii znajduje dopełnienie w bardziej posępnych opowieściach, przynoszących obraz codzienności czasów wojny lub niepokoju mieszkańców światów stojących na progu zagłady. „Lis w lesie” to kameralna przypowieść o uciekinierach z odległej, pogrążonej w militarnym chaosie przyszłości, którzy znajdują tymczasowy azyl w Meksyku w 1938 roku. Marzenia o spokojnym życiu spełniają na niczym, kiedy za bohaterami ruszają w pogoń nieprzekupni funkcjonariusze biura „Podróże w Czasie” udowadniający, że od pewnych rzeczy nigdy nie uda się uciec.

Zagłada kroczy także „Drogą”, w której exodus przerażonych wybuchem wojny atomowej obywateli zastaje Meksykanina Hernando w trakcie wykonywania przez niego zwykłych, codziennych czynności. Wbrew logice, mężczyzna pozostaje na skromnym poletku – w przestrzeni bezpiecznego mikrokosmosu; stworzonej przez siebie enklawie, do której szaleństwo „zewnętrznego” świata nie ma dostępu. Czy zagłada jest naprawdę nieunikniona? Owa refleksja powraca także w postapokaliptycznym „Na wozie”, gdzie czarnoskórzy mieszkańcy Marsa praktycznie zapomnieli



już o segregacji rasowej. Jednak nienawiść i ksenofobia mogą się odrodzić wszędzie. Kiedy bowiem w stronę czerwonej planety zmierza rakietą z amerykańskim pilotem na pokładzie, w sercu starego Willie'ego rodzi się pragnienie odwetu za koszmar przeszłości. Sytuacja ulega zmianie, gdy przybyszem okazuje się zmęczony życiem starzec uświadamiający bohaterowi, że wszystko, co składało się na „jądro ciemności” rodzaju ludzkiego, spłonęło w oczyszczającym ogniu apokalipsy, dającym realną szansę na nowy, lepszy początek.

MELANCHOLIJNE SZKICE

Koniec Czasów nie musi przybierać złowieszczonego kształtu atomowego grzyba. W „Ostatniej nocy przed końcem świata” Bradbury snuje melancholiijną wizję archetypicznego snu, równocześnie nawiedzającego podświadomość wszystkich mieszkańców Ziemi. Poczucie niemożności przeciwstawienia się nadciągającej zagładzie nie budzi jednak oczekiwanej paniki. Zmierzch ludzkości nie jest rezultatem ciężkich przewin – po prostu, „coś nam nie wyszło” i w rezultacie każdy, samotnie lub w otoczeniu najbliższych, staje w obliczu osobistej, małej apokalipsy.

Pogodzenie się z niemożnością wskrzeszenia przeszłości to jeden z tematów „Przybysza”, w którym Saul Williams musi

nauczyć się żyć z traumą po tragicznej śmierci młodego telepaty tworzącego wizję szczęśliwej przeszłości bohatera. Z kolei protagoniści „Kalejdoskopu”, dryfujący w przestrzeni kosmicznej bez szans na ocalenie, w ostatnich chwilach robią bilans minionego życia. Do najbardziej gorzkich wniosków dochodzi Hollis, zdolny rozpatrywać przeszłość jedynie jako sumę niezrealizowanych marzeń, a nie – jak jego towarzysze – czule pielęgnowanych wspomnień. Jego dramat potęguje świadomość, że nie zrekompensuje już zmarnowania najcenniejszego daru jakim jest życie. Jednak kiedy ciało Hollisa zaczyna płonąć przy finalnym wejściu w atmosferę, obserwujące wówczas niebo dziecko bierze je za spadającą gwiazdę, natychmiast wypowiadając życzenie. Bowiem nawet w śmierci można odnaleźć nadzieję.

Próbując określić swoje miejsce w porządku wszechrzeczy, bohaterowie Bradbury'ego często padają ofiarami własnych idées fixes. Udręką Hitchcocka z „Ani wieczór, ani poranek” jest konieczność ciągłego poszukiwania dowodu na to, że świat naprawdę istnieje. Nie widzę Ziemi, czemu zatem miałbym w nią wierzyć? – stawia pytanie generujące coraz silniejszą niepewność, doprowadzającą do decyzji o samobójstwie. Ojciec Douga, protagonisty

„Rakiecie”, rozdarty jest między pragnieniem bycia z rodziną, a koniecznością odpowiedzi na zew kosmosu, w którym śmierć egzekwuje od śmiałości wysoką cenę za możliwość spełnienia marzeń. Wyruszając na ostatnią wyprawę, mężczyzna ginie w oku Słońca, pozostawiając cierpiących bliskich w domowym zaciszu, szczelnie zamkniętym przed widokiem zniechęcającej gwiazdy. Zupełnie inaczej podobny wątek Bradbury przedstawił w „Rakiecie”, gdzie Fiorello Bodoni, który pragnie zrealizować marzenie o kosmosie, buduje substytut trójwymiarowego kina, umożliwiający przeprowadzenie symulacji kosmicznego lotu dla całej rodziny. W każdej z tych opowieści autor „Słonecznego wina” podkreślał, że kosmos z jednej strony urzeczywistnia odwieczne pragnienia ludzkości, a równocześnie przypieczętowuje człowieczą zgubę.

OBRAZUJĄC SACRUM

Ray Bradbury często analizował ukryte wymiary transcendencji. W utworze „Człowiek” dumny kapitan Hart podejmuje trud rozwiązania tajemnicy przybysza, w którym pozaziemscy autochtoni dostrzegają długo oczekiwanego mesjasza. Kiedy





zawodzą logiczne wyjaśnienia, chłodny racjonalizm Harta upada pod ciężarem poczucia winy oraz odradzającego się pragnienia wiary. Szukając utraconego sensu życia, Hart nie potrafi opanować zachłanności serca zdolnej uczynić z niego mordercę, przez co przypada mu los wiecznego tułacza, pozbawionego szansy na odkupienie.. W „Ognistych balonach” toczony na czerwonej planecie teologiczny spór na temat natury grzechu oraz istoty Boga rozwija się w nierozstrzygniętą dysputę na temat możliwości posiadania przez mieszkańców planety (przypominających sferyczne obiekty) inteligencji oraz nieśmiertelnej duszy. Dlaczego bowiem Chrystus nie miałby wypełniać dowolnego naczynia?

W „Człowieku Ilustrowanym” nie zabrakło także historii będących jednoznacznie przestrogą przed brakiem

„Wygnańcy” to z kolei przewrotna opowieść rozgrywająca się w świecie przyszłości, gdzie nie ma miejsca dla książek, świąt oraz najcenniejszego daru, jaki może posiadać człowiek – wyobraźni. Na planetarnych rubieżach ukrywają się widma zakazanych pisarzy: Edgara Allana Poe, Ambrose’a Bierce’a oraz Algernona Blackwooda, niegdysiejszych ikon literatury grozy. Jedyną szansą na przetrwanie tytułowych wygnańców jest powrót przesądów oraz niesamowitości, dlatego z determinacją kolonizują ludzką podświadomość za pomocą sennych koszmarów. Czy ofensywa widm jest w stanie pokonać bezduszną racjonalną przyszłość, skazującą na potępienie dziedzictwo Brama Stokera czy H.P. Lovecrafta? Bradbury przekonywał, że zdolność odczuwania nadprzyrodzonej grozy jest rodzajem pierwotnej wrażliwości, zdolnej przeciwstawić się duchowo sterylnym funkcjonariuszom totalitarnego reżimu.

na łonie natury Willy’ego z mrukliwym włóczęgą Carlem. Drugą wyznacza cykl wspomnień enigmatycznego przybysza dotyczących jego ambiwalentnych relacji z Felicją, zagadkową autorką jego tatuaży (będących owocem pracy charakterystyka Jamesa E. Reynoldsa). Trzeci poziom narracji wytycza rzeczywistość świata przedstawionego wybranych opowiadań: „Sawanny”, „Długiego deszczu” oraz „Ostatniej nocy przed końcem świata”.

Ciekawym zabiegiem było złożenie ciężaru na barkach trójki aktorów, wcielających się w różnorodne postacie będące zarówno bohaterami, jak i katalizatorami opowiadanych historii. Claire Bloom Rod Steiger oraz Robert Drivas stworzyli niezwykle wiarygodne, opierające się na kalejdoskopowej zmienności uczuć trio. Dzięki temu „Człowiek Ilustrowany” nabrał cech uniwersalnej paraboli, ukazującej życie człowieka jako mikrokosmos



pokory wobec tego, co wymyka się zdroworozsądkowej interpretacji. W „Długim deszczu” trójka wojskowych, zmagając się z nieprzyjnym klimatem Wenus, poszukuje Kopuły Stońca – schronu zaopatrzonego w sztuczną energię świetlną. Niestety, cel wędrowki okazuje się zimnym grobowcem, pochłoniętym przez miejscową florę. Nieustępliwy, najprawdopodobniej posiadający świadomość deszcz zmusza ich do dalszej, samobójczej wędrowki, potwierdzającej niemożność przekroczenia granicy Nieznanego. „Miasto” przynosi natomiast dantejski obraz przebudzenia starożytnej metropolii, której zmarli budownicowie – zostawieni niegdyś przez Ziemiaków na pastwę zarazy – opętują grupę astronautów stojących się medium długo oczekiwanej zemsty.

CELULOIDOWY CZŁOWIEK

Wielowątkowość oraz formalna atrakcyjność zbioru opowiadań po blisko dwudziestu latach zwróciła uwagę Fabryki Snów. W 1969 roku Jack Smight podjął próbę przełożenia na język filmu trzech opowiadań. Choć film spotkał się z chłodnym przyjęciem ze strony krytyków i poniósł finansową porażkę, to oglądany po latach posiada kilka niezaprzeczalnych atutów. Akcja „Człowieka Ilustrowanego”, przesyconego oniryczną aurą oraz duchem amerykańskiej kontrkultury, rozgrywa się na trzech przenikających się płaszczyznach czasoprzestrzennych. Pierwszą wytycza rama narracyjna, dotycząca okoliczności spotkania obozującego

jednostkowej opowieści stanowiącej trwały element makrokosmosu narracji wszechświata. Czy w podobnym tonie utrzymana będzie najnowsza próba odczytania utworów Bradbury’ego, do której przy mierza się Zack Snyder? O efekcie prac dopiero się przekonamy. Ray Bradbury, podobnie jak pogrążony we śnie Człowiek Ilustrowany, pozostawił nas z frapującym wspomnieniem niejednoznacznych wizji: bagażem pozornie oczywistych prawd oraz katalogiem z góry przesądzonych wypadków. Jednak nadal przebijają z nich światło ostrożnej, ciężko doświadczonej, choć wiecznie żywej nadziei na lepszą przyszłość.

Przemysław Pieniążek

OGLĄSZAMY KONKURS NA OPOWIADANIE!

NOWA Fantastyka

08 (359) 2012 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



KOSMICZNA SAGA
WRESZCIE
W KOMPLECIE!

KONWENT 2.0:
POLCON NADCHODZI
PODRZUCKI NAUKOWO
O MUTANTACH
OPOWIADANIE
NEALA STEPHENSONA

BURZLIWE DZIEJE
„PAMIĘCI ABSOLUTNEJ”
LINCOLN VS. WAMPIRY:
FENOMEN MASHUPÓW
GŁOWA BUSHA NA PATYKU
— CENZURA W HOLLYWOOD

PRÓSZYŃSKI
MEDIA

INDEKS 358398

08



© Warner Bros. Entertainment

TESTUJEMY POTTERMORE
HARRY POTTER PODBIJA INTERNET

OD „STREFY MROKU”

WYWIAD Z GEORGE’EM R.R. MARTINEM



na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, to moja ulubiona telewizyjna produkcja wszech czasów. Kiedy więc zaangażowano mnie do tego projektu, byłem w siódmym niebie. Wcześniej nawet nie śmiałem o tym marzyć. Co dokładnie chcesz wiedzieć na ten temat?

Michał Hernes: Coraz więcej osób zastanawia się, kiedy autor scenariusza serialu telewizyjnego zostanie nagrodzony literackim Noblem. Zwłaszcza, że wiele wybitnych książek było w przeszłości wydawanych w odcinkach. Czy pana zdaniem taki rozwój wypadków jest możliwy?

George R.R. Martin: (śmiech) To interesujące pytanie. Mówiąc szczerze, nie mam pojęcia. Moja wiedza na temat kryteriów związanych z przyznawaniem Nobla jest niewielka. To melodia przyszłości. Wszystko zależy od decyzji szwedzkich komediantów, którzy nie konsultują się ze mną w tej sprawie.

MH: Może szybciej doczekamy się momentu, w którym tę nagrodę otrzyma pisarz SF bądź fantasy?

GRRM: Bliski był tego w latach pięćdziesiątych Tolkien i byłoby cudownie, gdyby nagrodzono go Noblem. Zasługiwał na to, jako jeden z najwybitniejszych autorów żyjących w dwudziestym wieku. Czy obecnie któryś z fantastów ma szansę? Trudno powiedzieć. Skostniałe granice między literackimi gatunkami coraz bardziej się zaciera. Wierzę, że ten proces będzie trwał i doczekamy się chwili, w której autor książek fantastycznych zostanie należycie doceniony.

MH: Pozwolę sobie kontynuować temat starcia literatury popularnej z wielkimi klasykami. Popętnił pan kiedyś tekst o wyższości Stana Lee nad Szekspirem. Skąd taka teza?

GRRM: Napisałem to, kiedy miałem trzynaście lat. Nie będę bronił tej opinii, chociaż wciąż uważam, że Stan tworzy fantastyczne komiksy i dokonał wielkiej rewolucji. Wykreował wiele postaci, które przynoszą firmie Marvel milionowe zyski i przetrwają tysiące lat lub nawet dłużej. Nie można tego nie doceniać. Spider-Man to wspaniały bohater, ale Romeo i Julia też są bardzo dobrzy.

MH: Celowo rozpocząłem tę rozmowę od pytania o scenariusze, ponieważ chciałbym, żeby podzielił się pan swoimi doświadczeniami w tej dziedzinie od „Strefy mroku” począwszy.

GRRM: To była moja pierwsza fucha w Hollywood. Zaangażowano mnie do realizowania kontynuacji tego serialu, którą kręcono w latach osiemdziesiątych w stacji CBS. Jego oryginalna wersja, zrealizowana

MH: Czego ta przygoda pana nauczyła?

GRRM: Praktycznie wszystkiego o telewizji. Przed wejściem w to przedsięwzięcie nie przeczytałem żadnego scenariusza i musiałem od podstaw zgłębić tajniki dotyczące jego struktury czy formy. Nie ukrywam, że ukształtowało mnie to literacko i odbiło się na pisanych przeze mnie powieściach. Udoskonalilem dialogi, które w serialach odgrywają kluczową rolę. Jak wiadomo, muszą być krótkie i bardziej zwięzłe. Nieprzypadkowo wspominałem też o ważnej roli struktury. W „Pieśni Ognia i Lodu” każdy rozdział kończy się jakimś nagłym zwrotem akcji bądź niedopowiedzeniem, do którego się potem wraca. Te nagłe cięcia są, oczywiście, związane z reklamami.

MH: Praca nad „Strefą mroku” doprowadziła do spotkania na szczycie z Wesem Cravenem.

GRRM: To prawda, wyreżyserował on jeden z napisanych przeze mnie odcinków, który nazywał się „The Road Less Travelled”. Co ciekawe, to był mój jedyny autorski tekst stworzony na potrzeby tego serialu. Cztery pozostałe to jedynie adaptacje stworzone na kanwie nowel innych pisarzy. Cieszę się więc, że ten wyjątkowy scenariusz powędrował w ręce kogoś tak utalentowanego, jak Wes Craven.

MH: „Ostatni Obrońca Camelotu” powstał natomiast na podstawie dzieła Rogera Zelaznego.

GRRM: Roger był moim bardzo dobrym przyjacielem. Chciałbym jednocześnie podkreślić, że nie mówimy o pierwszym napisanym przeze mnie scenariuszu, ale właśnie ten jako pierwszy dopuszczono do realizacji. Dzięki temu pierwszy raz zobaczyłem i usłyszałem aktorów, którzy wypowiadali napisane przeze mnie kwestie. Za niezwykle istotną w całym tym procesie uważam jedną rzecz. Nad scenariuszami serialu pracowałem samodzielnie i nie kazano mi uczestniczyć w burzach mózgów, wspólnie z innymi autorami, w specjalnie wyznaczonym do tego pomieszczeniu. Oczywiście, nie unikałem pracy zespołowej. Gdy była taka potrzeba, rozmawiałem z reżyserem, producentami, autorami kostiumów czy specami od efektów specjalnych. Ale to następowało już później, na kolejnych etapach. Cieszę się, że nikt mi nie przeszkadzał w samym procesie pisania. Byłem tylko ja i mój komputer.

DO „GRY O TRON”



Po zakończeniu prac nad „Strefą mroku” zaangażowałem się natomiast w serialową wersję „Pięknej i Bestii”. Przez trzy lata napisałem trzynastę odcinków, przechodząc drogę od konsultanta do producenta nadzorującego. Inicjatorem tej produkcji był Ron Koslow, a w rolę główną fantastycznie wcielił się Ron Perlman.

MH: Jak pana zdaniem zmieniła się od tego czasu telewizja?

GRRM: Na pewno nastąpiła w niej rewolucja, ale trudno mi się na ten temat wypowiadać. Piszę przede wszystkim książki i od 1995 roku na długo wypadłem z obiegu. Wcześniej pracowałem nad scenariuszami jedynie przez dziesięć lat. Teraz tworzę co prawda scenariusz jednego odcinka „Gry o Tron” na sezon, ale największą i najtrudniejszą robotę wykonują David Benioff i D.B. Weiss. Nie zapominajmy, że są oni również pisarzami. Jestem więc szczęśliwy, że się w to zaangażowali. Stajnia HBO to najlepsi ludzie, z jakimi można pracować w Kalifornii. Produkcją najlepszych amerykańskich seriali. Nie mogłem sobie wymarzyć lepszych partnerów. Tworzymy cudowny zespół. Słyszałem, że niedługo doczekamy się serialowej wersji „Amerykańskich bogów”. To kolejna ekscytująca wiadomość.

MH: Nie marzy się panu, żeby zobaczyć „Gry o tron” w 3D?

GRRM: Nie, ta technologia mnie nie obchodzi. Moim zdaniem nie wnosi zbyt wiele do kina i telewizji. Zdecydowanie opowiadał się za starym dobrym 2D. W pewnym sensie technika poszła do przodu, ale irytuje mnie to używanie specjalnych okularów w ciemnej kinowej sali. A wracając do samego serialu, chciałbym być bardziej zaangażowany w niego i proces produkcji, jednak nie mogę sobie na to pozwolić. Muszę skończyć pisanie dwóch opasłych tomów. To dla mnie priorytet.

MH: Skoro już doszliśmy do tego momentu, chciałbym pana zapytać, ze stworzeniem której postaci z „Pieśni Ognia i Lodu” miał pan największy problem?

GRRM: Zdecydowanie Brana Starka, ponieważ jest najmłodszy z nich wszystkich. W mojej opinii zawsze najtrudniej patrzy się na świat właśnie z punktu widzenia dziecka. Przyjmując ten punkt, nie możesz pisać jedynie o tym, co się wydarzyło. Naprawdę trzeba przyjąć dziecięcą perspektywę. Chodzi o sposób, w jaki przeżywa ono smutek i pustkę, a przede wszystkim o to, na ile rozumie, bądź nie, o co wokół chodzi i co ludzie wyprawiają.

MH: Kogo w takim razie najtrudniej było panu uśmiercić?

GRRM: Wszystkich, których musiałem zabić. I to niezależnie od faktu, czy byli źli bądź dobrzy, pierwszo lub trzecioplanowi. W każdym



z nich jest jakaś częśćka mnie samego. Zabijanie ich nigdy nie jest proste, nie widzę też w tym nic zabawnego. Niestety, nie sposób tego uniknąć, kiedy chce się stworzyć taką opowieść. Zmuszam się więc do tych decyzji. Najtrudniejsze do opisania zdecydowanie były Krwawe Gody i wszystkie okropieństwa, które się wtedy wydarzyły. To bolesne.

MH: Znajomi powiedzieli, że zabiją mnie, jeśli nie przekazę panu, jak ich zasmuciła śmierć Jona Snowa.

GRRM: Czytaj dalej, będą jeszcze kolejne książki. Pracuję aktualnie nad szóstym tomem, pod tytułem „The Winds of Winter”. Przede mną wciąż tysiące stron. Po jego ukończeniu wezmę się za „A Dream of Spring”. To opasłe tomiska, nie powstaną jutro. Potrzebuję jeszcze kilku lat.

MH: Jest pan pewien, że na tym zakończy się ten cykl?

GRRM: Nie jestem pewny niczego. To tylko moje zapowiedzi. Nadrzędny cel sprowadza się do opowiedzenia tej historii najlepiej, jak tylko potrafię. I żeby końcówka spełniła oczekiwania, które narodziły się wraz z powstaniem pierwszego tomu. Nie ukrywam natomiast, że po głowie chodzą mi pomysły na inne powieści z gatunków takich jak SF, fantasy czy horror.

MH: Na koniec chciałby pana zapytać o pańskie literackie inspiracje.

GRRM: Pierwszą ważną książką, którą przeczytałem, było „Wkładaj kombinezon i w drogę” Roberta Heinleina. Miałem wtedy jedenaście lat i ogromnie na mnie wpłynęła. Dzięki niej zapalałem miłością do fantastyki naukowej i przez wiele lat Heinlein był dla mnie najważniejszym pisarzem. Arcydzieła Tolkiena odkryłem i pokochałem w czasach licealnych. Wciąż co roku do nich wracam. Ogromnie cenię sobie utwory Jacka Vance’a. To wspaniałe i unikalny styl. Nikt nie potrafi pisać tak jak on. Tworzy wspaniałe światy i postacie. Nie ukrywam, że właśnie z tego powodu złożyłem mu hołd. „Umierająca Ziemia” jest cudownym zbiorem opowiadań. Z pisarzy historycznych bliscy są mi Thomas B. Costain i Francuz Maurice Druon, autor cyklu „Królowie przekłęci”. Ubóstwiam też prozę Bernarda Cornwella, który jest najlepszym żyjącym literatem piszącym o wojnie. Nikt tak jak on nie opisuje scen batalistycznych lub po prostu wojennych. I to niezależnie od faktu, czy rozgrywają się one na lądzie, czy w wodzie, w czasach arturiańskich bądź napoleońskich. ■

MIKE CAREY – ŚWIATOWA PREMIERA
NOWEGO OPOWIADANIA!

NOWA Fantastyka

09 (360) 2012 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)

**30
LAT**

NOWEJ
FANTASTYKI
W PAŹDZIERNIKU.

**ZACZYNAMY
ŚWIĘTOWANIE!**

**DAN SIMMONS
I ZAGADKA
DICKENSA**

**AFERA WOKÓŁ
„STRAŻNIKÓW”
ALANA MOORE'A**

**ROYCE I HADRIAN
POWRÓCĄ
20 WRZEŚNIA!**

**OPOWIADANIE
JEFFA VANDERMEERA**

**RECENZUJEMY
NOWĄ POWIEŚĆ
NEALA STEPHENSONA**

**WYWIAD
Z DAVIDEM WEBEREM**

DZIEDZICTWO DIUNY
**KTO ŻERUJE NA ARCYDZIELE
FRANKA HERBERTA?**

PROSZYŃSKI
MEDIA

© Cover artwork by Larry Rostant
represented by Artist Partners Ltd
www.artistpartners.com.

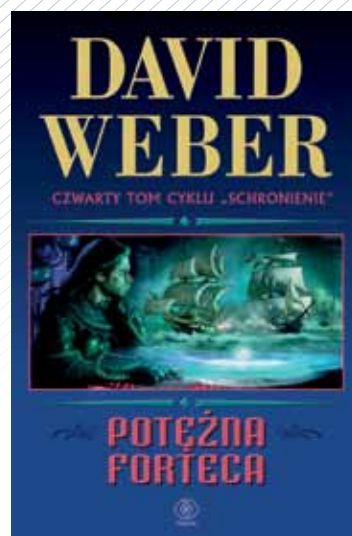


David Weber – pisarz specjalizujący się w fantastyce militarnej. Autor ponad 60 książek. Najbardziej znany jako twórca monumentalnego cyklu „Honor Harrington”. Inicjały bohaterki stanowią hołd dla „Horatio Hornblowera” C.S. Forestera.



TRZEBA MÓWIĆ WŁASNYM GŁOSEM

Z Davidem Weberem rozmawia Joanna Kułakowska



Joanna Kułakowska: Napisałeś ponad 60 książek, to imponująca liczba! W dodatku tworzysz zarówno SF, jak i fantasy. Jak narodziła się twoja fascynacja fantastyką?

David Weber: Odkryłem SF jako dzieciak, dzięki powieści Jacka Williamsona „The Legion of Space”. Byłem chory i przeczytałem już wszystkie książki o koniach, zacząłem więc szukać czegoś ciekawego w księgarni prowadzonej przez ojca. Pokochałem fantastykę, zainteresowałem się też powieściami historyczno-militarnymi. Pierwszą książką, którą złożyłem w wydawnictwie była jednak nie SF, a fantasy.

J.K.: To ciekawe, biorąc pod uwagę fakt, że jesteś znany głównie jako twórca militarnych space oper.

D.W.: Miałem akurat taki pomysł. Niestety, jak to zwykle bywa z pierwszymi powieściami, była wielokrotnie odrzucona, ale mogę zdradzić, że w ciągu najbliższych dwóch, trzech lat ujrzy w końcu światło dzienne. Oczywiście, w poprawionej formie (śmiech). Akcja rozgrywa się w tym samym uniwersum, co cykl „Bóg Wojny”.

J.K.: Z czytelnika stałeś się pisarzem. Co tak cię urzekło w fantastyce, że postanowiłeś uprawiać właśnie ten gatunek, zamiast pisać powieści historyczno-militarne, o których wspominałeś?

D.W.: W fantastyce można budować inną, nową historię, inne, odmienne od obecnie istniejących społeczeństwa i badać ich mechanizmy. Można to zrobić w sposób nie-

dostępny innym rodzajom fikcji. Na początku pisałem tylko dla przyjemności, tworzyłem też wiersze. Później, mając 17 lat, zacząłem zajmować się słowem pisanym zawodowo, ale głównie redagowałem teksty w różnych czasopismach. Pisałem też dokumenty rządowe. Z zawodu chciałem być historykiem i można powiedzieć, że do fantastyki przyciągnęło mnie to samo, co zainteresowało mnie w historii – to, jak świat funkcjonuje, co go napędza. Teraz wolę SF od fantasy, dlatego że jest większa wolność kreacji. Jednak choć zamiast bogów, krasnoludów i elfów, do budowy świata używamy technologicznych zabawek, jak roboty i sztuczne inteligencje, nadal są to tak naprawdę baśnie. Baśnie, które mogą nas wiele nauczyć, opowiadając o różnych sytuacjach życiowych, tyle że w nowym otoczeniu.

J.K.: A więc chciałeś czytać, a później pisać ciekawe, kształtujące baśnie?

D.W.: Nigdy nie uważałem się za Pisarza z dużej litery, tylko za opowiadacza, a opowiadanie baśni jest wspaniałym zajęciem. Forma wydrukowanej książki nie zmienia tego, że w gruncie rzeczy to opowieść snuta komuś, kto chce słuchać. Robię to, co podpowiada instynkt opowiadacza [David Weber ma uszkodzoną rękę, w wyniku czego duże partie tekstu nagrywa na dyktafon i daje do przepisania, a więc *de facto* opowiada nie tylko w przenośni – dopisek J.K.]. Zawsze mówię, że jeżeli ktoś chce zacząć pisać, to powinien tworzyć takie opowieści, które chciałby czytać, ponieważ wtedy pisanie będzie przyjemnością. Powinno

się pisać to, co się czuje, a nie to, co wydaje się łakomym kąskiem dla wydawcy. Sądzę też, że jeśli ktoś naprawdę lubi tworzyć określony rodzaj historii, nikt i nic go nie zmusi do pisania czegoś innego. Inaczej byłby bardzo dziwną osobą (śmiech). Trzeba mówić własnym głosem. Tu muszę dodać, że amerykańscy czytelnicy nie zdają sobie sprawy, do jakiego stopnia fantastyka może kształtować rzeczywistość, nawet tę polityczną. Wydaje mi się, że fantastyka w Polsce robi to, co powinna, czyli przekazuje pewne idee i nowe pomysły. W waszym kraju była cenzura i restrykcje, fantastyka więc po prostu musiała sięgać głębiej. Z pytań, które przez Internet otrzymuję od fanów z tej części Europy, wnoszę, że bardziej zagłębiacie się w lekturę. Amerykanów interesują głównie eksplozje statków kosmicznych, a was pomysły i idee zawarte w książkach.

J.K.: Bardzo miło to słyszeć. Wspomniałeś o fantastyce w Polsce. Czy przeczytałeś jakieś książki polskich autorów?

D.W.: Niestety nie. Bardzo żałuję, że fantastyka anglojęzyczna eksportowana jest na cały świat, a fantastyka obcojęzyczna nie dociera na anglojęzyczny rynek. Podobnie z kinematografią. Głównym powodem braku polskiej fantastyki na anglojęzycznym rynku jest niewielki krąg odbiorców języka polskiego w USA. Amerykanie, których interesuje obcojęzyczna fantastyka, czytają w oryginale i kupują w dowolnym kraju Europy przez Internet. Rynek wewnętrzny jest tak wielki, że wydawcy nie chcą już wpuszczać obcej literatury, co oczywiście nie jest dobre. Chodzi o sukces komercyjny. Coś, co jest puszczane na rynek, niekoniecznie okazuje się najlepsze według obiektywnych kryteriów. To jest po prostu coś, co zdaniem wydawców najlepiej się sprzedaje.

J.K.: Wynika z tego, że Amerykanie chcą czytać głównie książki w amerykańskim stylu. A co do stylu i „własnego głosu”, o którym wspominałeś wcześniej: specjalizujesz się w fantastyce militarnej. Czy wynika to z faktu bycia historykiem, czy raczej pasjonatem militariów?

D.W.: Z wykształcenia jestem historykiem, który specjalizuje się w wojskowości i dyplomacji. Zawsze interesowało mnie polityczne tło wojen. Jak doszło do takiej sytuacji, że musiały wybuchnąć wojna? Co do niej doprowadziło? Oczywiście, gdy byłem młodszy, jak teraz mój dziesięcioletni syn Michael, wojskowość interesowała mnie głównie z punktu widzenia zabawek – najnowsza broń, najnowsze czołgi, wszystko, co przemawia do młodych chłopców (śmiech). Teraz interesuje mnie polityczne podłoże, taktyka i strategia. Fakt faktem, z racji wykształcenia skupienie się na fantastyce militarnej przyszło mi w sposób naturalny.

J.K.: Pisząc o wojnach przyszłości, trzeba dużo czytać o wojnach z przeszłości?

D.W.: Tak. Zmieniają się narzędzia, którymi wykonujemy czynności, ale same czynności się nie zmieniają. Nadal, jak tysiące lat wcześniej, uprawiamy żywność i ją transportujemy. Tak samo jest z wojskowością. Dobrze jest znać i przeszłość, i teraźniejszość, ponieważ zmieniają się tylko dekoracje.

J.K. A propos dekoracji... W twoich książkach pojawia się bardzo zaawansowana technologia. Sztuczne inteligencje, statki o napędzie warpowym... Czy starasz się być na bieżąco z odkryciami w sferze fizyki i techniki i tym się inspirujesz, konstruując konkretne wizje?

D.W.: Staram się, ale mam wykształcenie historyczne, a nie fizyczne. Dlatego w kwestii nauk ścisłych jestem najwyżej dobrze poinformowanym laikiem. Natomiast jakiś czas temu

rozmawiałem z kolegą, który ma wiele doktoratów, właśnie na temat, czy lepiej być wizjonerem, czy naukowcem piszącym fantastykę? I doszliśmy do wniosku, że jeśli się pisze fantastykę bliskiego zasięgu, to lepiej być naukowcem i znać najnowsze odkrycia, natomiast gdy pisze się historię osadzoną w odległej przyszłości, to wbrew pozorom wiedza naukowa może przeszkadzać. Wystarczy spojrzeć, jak dramatycznie nauka zmieniła się w ciągu ostatnich dwustu lat. Aż strach pomyśleć, co będzie za czterysta! Nie mamy pojęcia, jak to może wyglądać, dlatego znajomość stanu obecnej wiedzy może ograniczyć wyobraźnię autora.

J.K.: W wywiadach często udzielasz ogólnych rad początkującym pisarzom, a ja chciałabym zapytać, co radziłbyś osobie, która chce pisać konkretnie fantastykę militarną? Co tu jest ważne? Oprócz czytania o przebiegu wojen z przeszłości.

D.W.: Po pierwsze, żeby pisać fantastykę militarną, trzeba znać wojsko, historię wojskowości i sposób zorganizowania armii, a co najważniejsze, trzeba pozbyć się stereotypów. Obecnie pokutuje stereotyp, że jeśli ktoś jest w wojsku w czasie pokoju, to znaczy, że nie znalazł żadnej innej roboty, a jeżeli nie jest w wojsku w czasie wojny, to znaczy, że jest tchórzem. A to nie zawsze takie proste. Trzeba skoncentrować się na instytucji wojskowości jako takiej, na tym, co jest duszą wojska, a nie na wojskowych zabawkach – nowoczesnej broni, mundurach czy innych szczegółach. Trzeba zdobyć wiedzę o tym, czym wojskowi różnią się od cywilów – jak podchodzą do różnych spraw. Ogólnie w literaturze zawsze najważniejsze są postacie. Nie cała otoczką, tylko postacie. W tym przypadku są to postacie uwikłane w masową rzeź – wojna nie może być tylko pretekstem, wymówką do pójścia na łatwiznę w rozwiązywaniu ich różnorodnych problemów. Wracając do kreowanych struktur wojskowych. Warto wiedzieć, że nawet ludzie, którzy nie znają się zbyt na wojsku, będą w stanie wyczuć, że coś nie gra, gdy za bardzo puścimy wodze fantazji, kreując organizację i zależności pomiędzy różnymi ludźmi w armii. Wśród moich wiernych czytelników jest wielu wojskowych, wydaje mi się więc, że nie piszę jakichś bzdur (śmiech).

J.K.: A propos bzdur. Dla wielu mężczyzn jest nią równouprawnienie płci w siłach zbrojnych. Wiem, że wszyscy pytają cię o kobiety w armii, i wiem, że podobnie jak Joe Haldeman uważasz, że w przyszłości będzie całkowite równouprawnienie płci. Swoją drogą, w australijskiej armii nastąpi ono już w ciągu najbliższych pięciu lat. Ale intryguje mnie, dlaczego ewidentnie preferujesz opisywanie kobiety w roli dowódcy? Żeńskie postacie w twoich książkach są bardziej wyraziste, bardziej szczegółowo skonstruowane, a przez to wiarygodne.

D.W.: Zawsze lubiłem kobiety (śmiech). Lubię mocne osobowości i nigdy nie miałem problemu z silnymi kobietami. Taka była moja matka, taka jest moja żona. Żyjemy w czasach, w których następuje ewolucja ról płciowych. Umożliwia to zwłaszcza technologia. Dzięki rozwojowi techniki doszliśmy do takiego momentu w dziejach, że nie musimy już pracować całe życie, by zapewnić sobie przetrwanie. Kiedyś rolnik był w stanie wyżywić tylko siebie i swoją rodzinę, teraz w Ameryce jeden rolnik potrafi wyżywić około siedemdziesięciu osób. Dlatego, o ile kiedyś mogliśmy uzasadnić niewolnictwo koniecznością pracy i brakiem siły roboczej, o tyle po wynalezieniu odpowiednich narzędzi, które ułatwiły pracę, straciliśmy tę wymówkę. Teraz możemy zadawać sobie pytanie, czy takie traktowanie drugiego człowieka jest moralnie dopuszczalne. I podobnie zaczyna być z kwestią płci. Kiedyś wszystko było napędzane mięśniami, a teraz powoli zbliżamy się do tego, że wszystko będzie napędzane siłą intelektu. I o ilierzeczywiście kobiety

częściej mają mniejsze mięśnie niż mężczyźni, to osobiście nie zauważyłem jeszcze różnicy w wielkości mózgu. Prawda jest taka, że społeczeństwo, które nie zapewni pełnej równości swoim kobietom, rezygnuje z 50% swoich możliwości technologicznych czy naukowych.

J.K.: Bo podział ról zabija możliwości jednostki. Nawet jeśli statystycznie pewne talenty rzadziej występują u kobiet, a inne rzadziej u mężczyzn, zbrodnią jest mamować potencjał zdolnych ludzi, tylko dlatego że należą nie do tej grupy płciowej, o której mówi statystyka.

D.W.: Dokładnie! To nie jest rozsądne zarządzanie zasobami ludzkimi. Natomiast jeśli chodzi o rolę płci w SF, wydaje mi się, że pisząc o przyszłości za kilka tysięcy lat, muszę uwzględnić fakt, że wszystko się diametralnie zmienia. Uważam, że w odległej przyszłości kwestia roli kobiet, walka o ich równouprawnienie będzie dla ludzi sprawą tak odległą, jak teraz stosunek faraonów do Hetytów. To nas po prostu zupełnie nie dotyczy, tak? Nazywano mnie czasami pierwszym postfeministycznym pisarzem SF, ponieważ po prostu zakładałam to równouprawnienie. Dla moich bohaterów jest to fakt dokonany, ta walka to zamierzona historia. W moich książkach żadna postać nie podważa tego, że kobieta może być dowódcą.

J.K.: Na planecie Grayson w Honorverse walka o równouprawnienie nie była odległą przeszłością. Można powiedzieć, że Honor Harrington do niej doprowadziła i wygrała (śmiech).

D.W.: Planeta Grayson to przypadek bardzo szczególny (śmiech). W utworach innych pisarzy, a przynajmniej tak było dwadzieścia lat temu, jest czymś oczywistym, że dowódczyni musi mierzyć się z negatywnymi stereotypami i walczyć o to, by być postrzegana przez mężczyzn jako „prawdziwy” dowódca. A ja zakładałam równouprawnienie i liczę na to, że czytelnicy mają dość inteligencji, by zrozumieć, że jest to czymś naturalnym w tamtym społeczeństwie. Natomiast jeśli chodzi o opisywanie kobiet w roli dowódców, lubię iść pod prąd. Moim zdaniem, Hollywood i powieści wojskowe w zły sposób przedstawiają kobiety. W historii brak przykładów dowódców, którzy byli kobietami. Istnieje wiele przykładów mężczyzn-dowódców. Dlatego często zakładam się, że aby kobieta mogła być dowódcą, musi być hipermeška, zachowywać się jak facet na sterydach, jak karykatura mężczyzny. A przecież z historii wiemy, że każdy dowódca miał swój własny styl, nie było dwóch takich samych geniuszy militarnych. Byli i agresywni, i spokojni, a i jedni, i drudzy odnosili sukcesy.

J.K.: Stereotypowo żeńskie „miękkie zarządzanie” jako styl dowodzenia... Ciekawy pomysł. Ciekawi mnie również, czy znasz osobiście jakieś żołnierki? Może cechy charakteru i stylu dowodzenia Honor Harrington lub Ninhursag z serii „Dahak” pochodzą od którejś z nich?

D.W.: Znam wiele kobiet, które służą albo służyły w wojsku. Jedną z osób, które pracują nad kompendium Honorverse, jest komodor Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w stanie spoczynku, której mąż nadal jest na służbie, również w stopniu komodora. Ale świadomie żadnej z postaci nie oparłem na jednej rzeczywistej osobie, choć oczywiście wplątałam cechy poznanych ludzi. Zresztą tworząc postacie kobiece, nie zaczynam od stworzenia „kobiety”, tylko „osoby”. Najpierw myślę nad uczuciami, historią i charakterystyką tej osoby, a potem, co ewentualnie muszę zmienić, jeśli to kobieta. Piszę o ludziach, a nie o mężczyznach i kobietach. Tak się składa, że niektórzy z tych ludzi są kobietami. Często mówi się, że powinno się pisać o tym, co się zna, ale ja

mam taki problem, że nie znam żadnego kapitana statku kosmicznego (śmiech). Kobiety, które piszą o mężczyznach-dowódcach, mają tę przewagę, że znajdują wiele modeli w historii – Napoleon, Wellington, Nelson... Znamy wielu historycznych dowódców, ale kobiety-dowódcy to kwestia nowa.

J.K.: Nie taka nowa (śmiech). Boudika, Joanna D’Arc, Hua Mulan, Polka Emilia Plater... Ale ich portrety zostały zniekształcone i przez współczesnych, i przez potomnych. Może stąd się bierze to hollywoodzkie pokłosie? W powszechnym wyobrażeniu, żeby słuchano kobiety, musiała być albo fte-mężczyzną, albo szaloną tyranką, albo świętą czy chociaż fanatyczną patriotką. Nie mogła być po prostu charyzmatyczną, pewną siebie kobietą, która robi to, co uważa za słuszne...

D.W.: Te kobiety na pewno doczekały się mocno zniekształconych wizerunków, bo wynika to z oczekiwań społecznych. A ponieważ w nowoczesnej historii nie było zbyt wielu im podobnych, czy to pisarze, czy pisarki, pisząc o takich osobach, muszą wszystko wymyślać na bieżąco.

J.K.: Z innej beczki. Jesteś kaznodzieją w kościele metodystów. Siłą rzeczy, przekonania i religia mają wpływ na twoje książki. Interesuje mnie natomiast, czy inspirują cię raczej obecne wydarzenia społeczno-polityczne związane z religią, czy chętniej sięgasz do historii?

D.W.: Czerpię zarówno z wydarzeń obecnych, jak i historii, która ukazuje, że w imię religii dokonywano wielu wspólnych rzeczy, ale i wielu odrażających. Po 2001 r. więcej osób zdaje sobie sprawę z ostrości podziału na świat chrześcijański i muzułmański, ale tak naprawdę to nic nowego. Umieściłem podobny wątek już w „Księżycu buntowników”, wydanym w 1991 r. Przykładem, do czego może doprowadzić wypaczona wersja religii chrześcijańskiej, jest planeta Grayson, o której wspominałaś, albo fabuła cyklu „Schronienie”. Ten cykl jest dla mnie bardzo ważny, bo dotyczy ważkich spraw – wolności sumienia, wolności słowa i sposobów ich zachowania. Lubię pokazywać, że dobrzy ludzie są po obu stronach. W gruncie rzeczy jesteśmy podobni, ale istnieje tyle różnych ideologii, systemów filozoficznych, religii, które mnożą punkty widzenia, dzieląc włos na czworo. Ludzie z gruntu dobrzy i podobnie czujący się znajdują się często w opozycji, bo patrzą na tę samą rzecz na różne sposoby. Ludzie z różnych społeczeństw zapominają o tym i jedną z funkcji fantastyki jest przypominanie im o tym.

J.K.: Czy wydawca albo może fani mieli kiedykolwiek wpływ na twoje utwory?

D.W.: Nie, nigdy nie byłem pod presją wydawcy. Wszystkie opisywane wydarzenia były planowane, wynikały z wcześniejszych. Jednak każda opowieść jest strukturą dynamiczną, zmienia się, rozwija i nie wiadomo, który element nabierze wagi. Znam moją żonę od dwudziestu lat, można by więc zadać pytanie, czy wciąż potrafi mnie zaskoczyć? To samo pytanie nasuwa się w związku z fikcją literacką, a przecież wydawałoby się, że znam swoich bohaterów od podszewki. Jednym z powodów, dla których piszę, jest chęć dowiedzenia się, jak zachowają się moje postacie postawione w różnych sytuacjach, w nowych warunkach. Na tej zasadzie nawet śmierć nie musi kończyć opowieści o danej postaci, bo zostają ci, którzy ją znali, dla których była ważna. Czytelnicy inwestują uczucia i dlatego nie chcą, żeby seria się kończyła, ale kiedyś jednak trzeba skończyć. Przy pewnych bohaterach, jak Honor, bardzo trudno jest myśleć o zakończeniu, bo sukces wydawniczy zmniejsza

sza możliwość wyboru (śmiech). Ale w żadnej sytuacji nie można po prostu „wcisnąć wyłącznika”, zakończeniem musi mieć sens, wszystkie istotne wątki muszą być zamknięte. Fanom również nie pozwalam wejść sobie na głowę (śmiech). Oczywiście nie wszystko wszystkim się podoba. Nigdy nie zapomnę, jak w latach 90. poszedłem do księgarni i dostałem własną książkę w potylicę! Odwróciłem się i zobaczyłem małą rudą osobkę, która wysyczała z wściekłością: *Zabiłeś Seana...* (śmiech). Czasem ktoś musi zginąć, bo takie są wojny, a czasem dlatego, by czytelnicy mogli ujrzeć, co się dzieje w sercu głównego bohatera lub bohaterki i lepiej ją poznać.

J.K.: Dobrze, że to była papierowa książka, a nie coś metalowego... Współpracowałeś z wieloma autorami – Johnem Ringo, Stevem Whitem, Lindą Evans... Zapewne z każdym pracowało się inaczej. Może jednak opowiesz więcej, jak to najczęściej wyglądało? Burza mózgów? Podział obowiązków?

D.W.: Rzeczywiście z każdym autorem wyglądało to zupełnie inaczej. Stosowałem już wszystkie możliwe kombinacje. Każdy autor ma własny styl pracy i preferencje. Przy współpracy najlepiej, jeśli siły się uzupełniają. Na przykład John Ringo jako były wojskowy wspomagał mnie swoją wiedzą przy rozmaitych technicznych szczegółach. Druga możliwość to sytuacja, gdy siła jednego współpracownika równoważy słabość drugiego. Ogólnie jeśli tworzymy coś, co rozgrywa się w moich światach, to zwykle ja kreuję podstawowe elementy. Realizujemy moje pomysły, dzieląc się zadaniami. To może być np. podział postaci, z punktu widzenia których pisana jest książka. Gdy wraz ze Stevem Whitem pisaliśmy pierwszą powieść z serii „StarFire”, byłem twórcą wszystkich części, gdzie narratorem jest Li-Han. To Chinka, która ma 150 cm wzrostu, więc pasowała do mnie (śmiech). Czasem koordynacja pracy dwóch autorów o różnym tempie pisania staje się niemożliwa, bo mają też własne zobowiązania. Dlatego wspólnie ze Stevem opracowaliśmy fabułę dwóch części, po czym oznajmiłem mu, żeby napisał je albo sam, albo z kim zechce, bo ufam, że wyjdzie, jak trzeba. Są jeszcze dwie opowieści z tego cyklu, które chcę napisać sam, jeśli znajdę na to czas: I i II „Wojna Wstydu”.

J.K.: Świat „StarFire” to nie tylko seria książek i taktyczna gra planszowa firmy Task Force Games, ale i świat twojego autorskiego systemu RPG. Czy wciąż masz czas na RPG, żeby grać, żeby prowadzić?

D.W.: Niestety nie. I to już od wielu lat. Bardzo żałuję, ale mam za dużo obowiązków. Grałem dawniej, na początku kariery, między książkami. Gdy skończyłem książkę, miałem zwykle miesiąc przerwy. Teraz czasami mam tydzień, ale ponieważ jestem ojcem trójki dzieci, poniżej 11. roku życia, poświęcam im każdą wolną chwilę. Bliźniaczki adoptowane z Kambodży skończą w październiku 11 lat, a syn 10 lat w tym samym miesiącu. Dzięki nim wiem, jak patrzy na świat dziecko, jak zachowuje się, gdy widzi coś po raz pierwszy. Daje to wiele radości i przydaje się w tworzeniu. Brakuje mi czasu nawet na to, żeby czytać, bo przecież muszę wracać do pracy. Uwielbiam pisać, ale to zawód, który pochłania czas...

J.K.: Pewien recenzent napisał kiedyś, że powieść „Powstanie” przypomina mu strategię komputerową w kosmosie. Czy grywałeś w strategię albo inne gry komputerowe?

D.W.: Raczej nie grywałem w gry komputerowe, głównie dlatego, że potrafią być strasznie złodziejami czasu. Natomiast trzeba pamiętać o tym, że razem ze Stevem pisaliśmy „Powstanie” w 1988 r. [pierwsza powieść Webersa,

która ukazała się drukiem (1990 r.) – dopisek J.K.] i wtedy nie było zbyt wiele komputerowych strategii.

J.K.: A w gry planszowe i figurkowe? Oczywiście, zanim rosnące dzieci zaprzętnęły całą twoją uwagę (śmiech).

D.W.: Nie tylko projektowałem gry wojenne ze świata „StarFire”, ale i z przyjemnością w te planszówki grałem. Jestem wielkim fanem gier bitewnych, ale raczej strategii historycznych, jeszcze sprzed boomu „Warhammera”. Mam pełne armie z Wojen Napoleońskich (westchnienie).

J.K.: Projektowanie gier taktycznych może tłumaczyć wrażenie wspomnianego recenzenta. A znów z innej beczki – biorąc pod uwagę treecały z Honorverse, zgaduję, że jesteś raczej kociarzem niż psiarzem? Niektórzy pisarze twierdzą, że „każdy pisarz powinien mieć kota”. Potrafią bardzo pomóc w pracy, na przykład włączając na klawiaturę (śmiech).

D.W.: Lubię zarówno psy, jak i koty. Kiedy pisałem „Placówkę Basilisk” miałem dwa ogromne koty i Nimitz – treecał, który adoptował Honor – stanowi połączenie ich cech. Tak stworzyłem swój „znak firmowy” (śmiech). Tak to bywa – pomysł pojawia się o tak, a potem staje się coraz ważniejszym elementem. Teraz nie mam żadnego kota, chociaż moja żona Sharon ma dwa. Ja osobiście mam golden retrievera. Są też dwa wilczury, labrador i dwa duże kundły. Choć nie uważam, że chodzenie po klawiaturze jest pisarzowi jakoś niezwykle pomocne (śmiech), to posiadanie zwierzątka jest czymś wspaniałym, ponieważ wiąże z istotą, która zawsze będzie przy tobie, dodaje człowiekowi otuchy. To pomaga.

J.K.: Książki wielu autorów fantastyki są teraz ekranizowane. Można powiedzieć, że trwa moda na fantastykę. Czy możemy się spodziewać, że któraś historia z Honorverse albo innego twojego cyklu stanie się serialem lub filmem kinowym? A może jakieś inne medium wchodzi w grę?

D.W.: Studio w Hollywood ma zgodę na realizację książek o Honor. Zatrudnieni tam scenarzyści są w trakcie tworzenia scenariusza pierwszego pełnometrażowego filmu. W planach mają cztery do dziesięciu filmów. Fakt, że jest to tak zaawansowany projekt, nie znaczy niestety, że cokolwiek z tego wyniknie. Tak działa Hollywood. Natomiast padły już pytania o propozycje innych moich serii, ale to na razie faza wstępna.

J.K.: Na koniec chciałabym zadać pytanie o prawdziwy początek twojego pisania. W wywiadzie dla portalu Katedra powiedziałeś, że pierwszą powieść napisałeś już w ósmej klasie, wspólnie z przyjacielem Terryem Maurerem. Ciekawi mnie, o czym była ta historia? Czy przyszło ci kiedyś na myśl, by napisać ją od nowa, tym razem z całym twoim doświadczeniem?

D.W.: Ogólnie rzecz biorąc, ta książka opowiadała, jak Terry i David ratują świat. Uwielbiam tę historię! (śmiech). Była bardzo długa. Nie da się ukryć, że była to świetna zabawa i znakomite doświadczenie, tym bardziej, że nauka pisania trochę przypomina naukę chodzenia. Jest to długi i bolesny proces, w którym się przewracasz i rozbijasz sobie kolana. Pisziesz opowieści i potem musisz je wyrzucać, bo się do niczego nie nadają. Nigdy nie myślałem, żeby napisać od nowa tę historię, ale gdyby ktoś ją przeczytał, znalazłby pewne elementy, które występują w moich książkach. Być może dlatego, że to była moja pierwsza opowieść i emanuje na wszystkie pozostałe.

J.K.: Bardzo dziękuję za rozmowę i życzę kolejnych sześćdziesięciu książek. ■

WYWIAD Z JONATHANEM CARROLLEM DLA „NF”

JAKUB WINIARSKI



Jakub Winiarski: Czytujesz fantastykę, SF i fantasy?

Jonathan Carroll: Bardzo rzadko. Literatura gatunkowa mnie nie interesuje.

J.W.: Twoje książki, a chyba zwłaszcza ostatnia, mogą spodobać się głównie czytelnikom. Czy wiesz o kobietach coś, co pozwala twoim tekstom tak doskonale trafiać w ich gusta?

J.C.: Moje książki i historie są pełne silnych, niezależnych kobiet, które są zdolne przetrwać każdą sytuację, w jakiej się znajdują. Często mówię, że bardziej lubię moje kobiece postacie od męskich, gdyż są bardziej „kompletne”. Pewnie dlatego kobiety lubią moją twórczość.

J.W.: W tomie „Kobieta, która wyszła za chmurę” opowiadania wyglądają czasem niby dopracowane, ale jednak szkice do czegoś większego, zarysy, wierzchołki gór lodowych, których nie odśloniłeś. Zakończenia rwą się i mnóstwo zostaje niedopowiedziane. Nie żal ci było takich dobrych pomysłów, z których mogłoby kilka powieści powstać?

J.C.: Tytułowe opowiadanie z tego zbioru stanie się prawdopodobnie pierwszym rozdziałem powieści, którą napiszę po ukończeniu książki, nad którą teraz pracuję. O rozwijaniu pozostałych historii nie myślałem.

J.W.: Mężczyzna i kobieta, kobieta i jej problemy w relacjach, związki i emocjonalne niepokoje – wydaje się, że używasz fantastyki nie tylko po to, by odkrywać nowe, inne światy, ale też, by opowiadać o bardzo codziennych sytuacjach.

Do czego jest ci zatem potrzebna fantastyka?

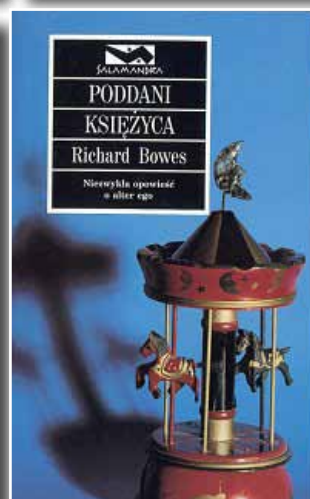
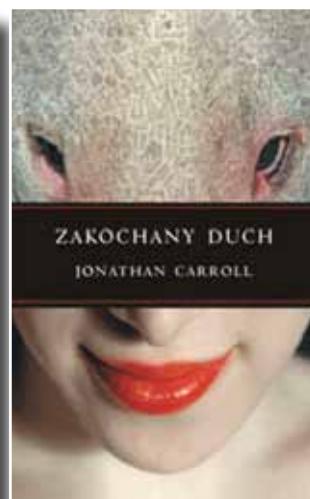
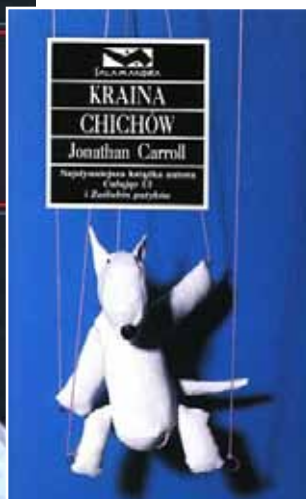
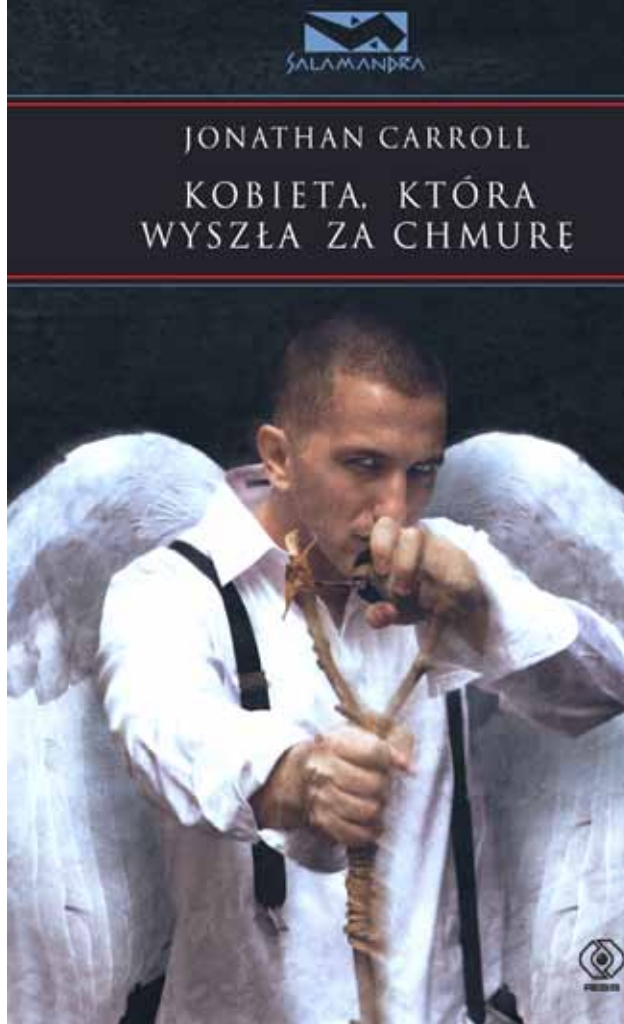
J.C.: Nie piszę science fiction, horroru, fantasy czy jakiegokolwiek gatunku, do którego stale próbuje się szufladkować moje utwory. Czasami używam SF jako metafory, gdy uważam, że pomoże mi to bardziej efektywnie przekazać przesłanie opowiadania lub powieści. Ale obruszam się gdy ktoś mówi, że moja twórczość to fantastyka, czy cokolwiek innego niż po prostu fikcja literacka.

J.W.: Czy jest jakiś temat, do którego przymierzasz się od lat, lecz wciąż z jakiegoś powodu o nim nie napisałeś? Czy jakieś tematy są dla ciebie trudniejsze niż inne? Jak w ogóle wybierasz tematy do swoich książek i opowiadań?

J.C.: Piszę o wszystkim, co interesuje mnie w danej chwili. Zazwyczaj zaczynam od postaci, a później buduję sytuacje „wokół” nich. Na przykład w „Kościach księżycy” stworzyłem kobietę, która sny zaczęły tworzyć jeden, nieprzerwany ciąg. Wtedy interesował mnie ten pomysł, bo ciekawiła mnie barwna a zarazem fragmentaryczna natura naszych snów. Reszta opowieści wyrosła z tego, co działo się w owym śnie.

J.W.: Przygotowując się do tej rozmowy, spytałem twoich czytelników, o co by chcieli spytać. Oto kilka z tych pytań. Pierwsze: czy biały bullterrier miał swój pierwowzór, a jeśli tak, to czy był on tak odjechany?

J.C.: Tak. Często piszę o bulterierach, bo to moja ulubiona rasa. Miałem ich aż piątkę. Pierwszy nazywał się Nails – jest to również imię gadającego psa z „Krainy Chichów”



[w polskim wydaniu: Kulfon – przyp. tłum.]. bulteriery są bardzo ekscentrycznymi, kochającymi i cudownymi psami. Polecam je gorąco każdemu, kto myśli o kupnie psa.

J.W.: „Szkłana zupa”, „Śpiąc w płomieniu”, „Kobieta, która wyszła za chmurę”. Skąd bierzesz te niesamowite tytuły książek?

J.C.: Lubię prowokujące tytuły. Lubię bawić się słowami, ustawianiem ich w niewłaściwej kolejności. Jest taka słynna amerykańska piosenka kowbojska „Home on the Range”. Pewnego dnia nuciłem ją sobie, ale zamiast właściwych słów home on the range przypadkiem zaśpiewałem home on the rain. Przerwałem to, czym się wtedy zajmowałem, poszedłem po notatnik i zapisałem to, gdyż wiedziałem, że będę kiedyś chciał wykorzystać te słowa jako tytuł opowiadania. Tak też się stało.

J.W.: Czy, nieco podobnie jak nieżyjący już William Wharton, nie czujesz się dziwnie, będąc bardziej popularny w Polsce niż gdzie indziej? Jak myślisz, co łączy twoje pisanie z Polską?

J.C.: Nikt nie umie powiedzieć, dlaczego pisarz jest popularny. Gdyby ktoś to wiedział, każdy wydawca miałby swoich autorów na listach bestsellerów. Moje książki są bardzo lubiane w jednych krajach, a nieznane w innych. dlaczego? Tego nie wie chyba nikt.

J.W.: Czy będziesz dalej szedł w mistykę, jak w „Zakochanym duchu”, czy raczej powrócisz do czystej fantastyki, od której zacząłeś?

J.C.: Fantastyka? Złe określenie. W „Zakochanym duchu”

widzę nie tyle eksplorację mistycyzmu, co analizę tego, jak człowiek może poprawić swoje codzienne życie jeśli dojdzie do ładu ze swymi wewnętrznymi „demonami”.

J.W.: Wiesz, jak wraz z twoim pisarstwem ewoluują gusta twoich sympatyków?

J.C.: Moje książki dzielą czytelników. Jedni je kochają, inni nienawidzą – niewielu jest pomiędzy tymi skrajnościami. Ci, którzy ich nienawidzą, mówią zazwyczaj coś w stylu Kochałem tę książkę dopóki psy nie zaczęły gadać; wtedy wyrzuciłem ją do kosza. Z kolei miłośnicy moich książek twierdzą, że tym, co czyni je wyjątkowymi jest mieszanka twardej rzeczywistości z niesamowitością.

J.W.: Co przeczytałeś takiego, że postanowiłeś zostać pisarzem?

J.C.: To był „Cyruk o świcie” amerykańskiego pisarza Thomasa Wolfe’a. Miałem wtedy piętnaście lat.

J.W.: Czy uważasz pisarstwo za rodzaj powołania, czy za kolejną mieszczańską profesję? Jakie są zawodowe kryteria, które pozwalają nazwać kogoś pisarzem?

J.C.: Sądzę, że pisarze (i artyści) lubią myśleć o sobie jako o kimś w rodzaju elity, ale doświadczenie nauczyło mnie, że trzeba być produktywnym. A żeby być produktywnym trzeba siedzieć na tyłku i dzień po dniu pracować jak każdy człowiek żyjący z pracy swych rąk. Tak się składa, że naszą pracą jest przelewanie słów na papier. Nie mam cierpliwości do pisarzy, którzy uważają się za lepszych. Pracujemy jak wszyscy i, mam nadzieję, dostajemy za to pieniądze. ■

Zanim Heath Ledger podbił Hollywood, wcielił się w irlandzkiego księcia w serialu „Prawo miecza”.

Irlandia z Australii

JERZY RZYMOWSKI

© Artur Kazorek



Lubiłem Heatha Ledgera zanim to było modne. Nie należę do tych, którzy dopiero po jego śmierci ocknęli się i ogłosili, że był znakomitym aktorem. Kibicowałem mu zanim szumu narobiło „Brokeback Mountain”, przed „Oblędnym rycerzem”, ba!, nawet przed „Zakochaną złością”. Zwróciłem na niego uwagę, gdy wcielił się w główną rolę w liczącym zaledwie 13 odcinków serialu „Roar”, nazwanym u nas „Prawo miecza”.

Twórcą serialu był Shaun Cassidy – ten sam, któremu zawdzięczamy opisywany miesiąc temu „Amerykański horror”. Serial powstał na fali popularności „Herkulesa” i „Xeny”, ale niewiele miał z nimi wspólnego – może zresztą właśnie dlatego przetrwał zaledwie jeden sezon, liczący trzynaście odcinków.

Akcja „Prawa miecza” rozgrywa się na początku V wieku naszej ery, w Irlandii. Funkcję Szmaragdowej Wyspy w serialu pełni Queensland w Australii, z której, o czym nie zawsze się pamięta, pochodził Ledger. Aktor wcielił się w głównego bohatera, młodego księcia imieniem Conor, który stracił bliskich w ataku sąsiedniego plemienia sprzymierzonego z rzymskimi najeźdźcami. Żoną wrogiego wodza jest Rzymianka, Diana, wraz z którą na wyspę przybył tajemniczy Longinus. Mentor

Conora, potężny druid Galen, posyła go z misją zjednoczenia irlandzkich plemion w obliczu zagrożenia ze strony Rzymian. Młodzieńcowi towarzyszą zaciekle wojownik Fergus, zbiegła rzymska niewolnica Catlin oraz Tully – czarnoskóry chłopak, którego Galen ocalił z rozbitego statku (można się domyślać, że jego obecność była łagodną próbą zadośćuczynienia politycznej poprawności w historycznych realiach, w których obecność czarnego bohatera trudno byłoby uzasadnić).

Wyjaśnijmy sobie jedno: „Prawo miecza” nie było produkcją wyjątkowo ambitną, ani szczególnie dbającą o historyczną wiarygodność – oglądając je warto brać poprawkę, że to opowieść fantasy. Na pewno jednak nie było głupie i poruszało ciekawe tematy. Choćby takie, jak dokonujące się w owych czasach spotkanie irlandzkiej tradycji i wiary

z chrześcijaństwem. W serialu nie zobaczycie jednak świętego Patryka, chociaż to jego epoka. Pojawia się za to inna postać, która odgrywa istotną rolę w chrześcijańskich apokryfach – to wspomniany wcześniej Longinus. Jeżeli to imię z czymś Wam się kojarzy, zapewne do-

Czy spodziewalibyście się w opowieści z Irlandii V stulecia, że mag będzie miał wizje XX-wiecznych pól bitew? Rozważań o niebezpieczeństwach, jakie niesie nauka? O ludzkiej skłonności do zniszczenia? Bohaterowie „Prawa miecza” mają w zanadrzu wiele niespodzianek.

myślicie się, jaką tajemnicę skrywa. Jeśli zaś brzmi obco, niech na początek wystarczy Wam wiedza, że w serialu jest czarnoksiężnikiem przeklętym nieśmiertelnością, który w Irlandii realizuje własne plany, niekoniecznie zbieżne z zamiarami królowej Diany. To najciekawsza postać „Prawa miecza”, skomplikowana i zaskakująca, świetnie wykreowana przez Sebastiana Roché.

Trudno zapomnieć odcinek, w którym kupiec ze Wschodu przywozi do Irlandii *atmos* – wybuchowy proszek. Anachronizm? Bez wątpienia. Ale czy spodziewalibyście się w opowieści z tamtych czasów, że mag będzie miał wizje XX-wiecznych pól bitew? Spodziewalibyście się rozważań o niebezpieczeństwach, jakie niesie nauka? O ludzkiej skłonności do zniszczenia? Bohaterowie „Prawa miecza” mają w zanadrzu wiele niespodzianek.

Co jeszcze ma do zaoferowania „Roar”? Seksowną Melissę George, która występuje w kilku odcinkach w roli niepokornej córki Fergusza, Molly. Przyzwoite mordobicie – nie żadne akrobacje rodem z „Xeny”, lecz rzetelne naparzanie się po ryjach, gdzie tłuczesz tym, co się nawinie i wszelkie chwytły są dozwolone. Nominowaną do Emmy ścieżkę dźwiękową, w której pojawiają się parę razy utwory Loreeny McKennitt. Spotkania z istotami z celtyckich legend (banshee, tash). No i osiemnastoletniego Heatha Ledgera, ze śpiewnym irlandzkim akcentem, dopiero rozwijającego skrzydła u progu wspaniałej, chociaż tragicznie krótkiej kariery.

P.S. Rok po skasowaniu „Prawa miecza” odpowiedzialna za ten serial wytwórnia Fox postanowiła wrócić do sprawdzonej formuły pseudomitycznych historii i wypuściła „Młodego Herkulesa”. Jego gwiazdą był niejaki Ryan Gosling.

Jerzy Rzymowski



PRAWO MIECZA (Roar). Twórca serialu: Shaun Cassidy, Ron Koslow. Występują: Heath Ledger, Vera Farmiga, Sebastian Roché. USA / Australia 1997.

WIDOWISKO BEZ FABUŁY



FILM ☐ ☐ ☐
DODATKI ☐ ☐ ☐

Typowy blockbuster
– mało fabuły,
dużo wybuchów
i potworów, a do
tego łopatologicznie
wyłożone przesłanie.

Tytani najpierw się ścierali, a teraz się gniewają. Na kogo? Na swoje dzieci, czyli bogów, a także na ludzi, bo ci akurat pałają się pod nogami. W sumie też byście byli źli, gdyby Zeus, Hades, Posejdon i spółka uwięzili was przed wiekami i przez tysiąclecia rządili sobie światem, was skazując na mroki Tartaru. I gdy tylko nadarzyłaby się okazja (na przykład zdrada Hadesa i Aresa), dalibyście nogę, a następnie publicznie wyrazili swoje niezadowolone, rozwalając wszystko jak popadnie. Zaiste, nie można się dziwić Kronosowi.

Po obejrzeniu „Starcia Tytanów” trudno było sobie wyobrazić film z bardziej szczątkową fabułą (no, może „Transformers 3”). A jednak! „Gniew Tytanów” nawet nie udaje, że chodzi o cokolwiek innego, niż efekty specjalne i niech nie zmyli was zatrudnienie aktorów tej klasy co Liam Neeson czy Ralph Finnes – panowie grali w części pierwszej, nie było więc innego wyjścia, jak ponownie ich zatrudnić. Może jednak byłoby lepiej, gdyby padło na kogoś mniej utalentowanego, bo widok Neesona, który jak nakręcany powtarza, że ludzie są lepsi od bogów, bla bla bla, mają w sobie ukrytą moc, bla bla bla, że bez nich bogowie są niczym, bla bla bla, jest naprawdę rozdzierający. W skrócie: fabuła to klasyczny quest, a dialogi są tak drętwe i patetyczne, że dla dobra filmu powinno się go zrobić w wersji niemej.

Trzeba jednak oddać „Gniewowi...” sprawiedliwość – czy należało spodziewać się po tej produkcji czegośkolwiek innego? Główny zły, a więc Kronos o ciele z na wpół zastygłej lawy prezentuje się nadzwyczaj efektownie, na głowę bijąc widzianego w poprzedniej części Krakena. Zgodnie ze złotą zasadą sławetnego hollywoodzkiego producenta, Jona Petersa („Batman”, „Bardzo Dzikie Zachód”), co dziesięć minut ktoś się z kimś bije, przy czym rozmach takich mordobić zawstydza firmy profesjonalnie zajmujące się wyburzaniem wieżowców. W kinie musiało robić wrażenie, na DVD już nieco mniejsze. Można by pomyśleć, że dystrybutor wynagrodzi te braki jakimiś dodatkowymi materiałami – niestety, otrzymujemy ledwie kilka wyciętych scen.

Pozostaję fanem „Starcia Tytanów” z 1981 roku, o nowych wersjach szybko zapominam.

Marcin Zwierchowski

GNIEW TYTANÓW (*Wrath of the Titans*), Reż. Jonathan Liebesman, Scenariusz: Dan Mazeau, David Johnson, Zdjęcia: Ben Davis, Muzyka: Javier Navarrete, Występują: Sam Worthington, Liam Neeson, Ralph Finnes, Edgar Ramirez, USA 2012

INNA KRÓLEWNA ☐ ☐ ☐ ☐ ☐

Merida jest córką króla Fergusa, który zjednoczył zwaśnione celtyckie klany. Niezależna dziewczyna nie chce się dopasować do rygorów dworskiego życia, a tego wymaga od niej matka, kochająca lecz rygorystyczna Elinor. Czarę goryczy przepelnia decyzja, że Merida ma zostać wydana za mąż za syna jednego z trzech lordów, którzy przybyli rywalizować o jej rękę. Po spektakularnej awanturze, królewna ucieka do lasu, tam zaś trafia do domku starej wiedźmy, od której kupuje urok, aby odmienić swój los. I wtedy problemy zaczynają na dobre...

Pixar przyzwyczaił nas do najwyższego poziomu swoich animacji – wystarczy wspomnieć takie tytuły, jak „Iniemamocni”, „Ratatuj” czy czarujący „WALL-E”. Tym razem przenosi nas do krainy inspirowanej średniowieczną Szkocją i snuje baśń z wartościowym, nienachalnie podanym morałem. To w pewnym sensie historia bliższa klasycznym animacjom Disneya (którego Pixar jest oddziałem), niż wcześniejsze pixarowskie filmy. Z drugiej strony, jak to ktoś celnie zauważył, Merida jest chyba pierwszą królewną, która wcale nie marzy o księciu z bajki,

Pixar ponownie znakomicie bawi i czaruje – tym razem w scenerii średniowiecznej celtyckiej krainy.

przedkładając galopady z łukiem po kniejach nad romantyczne uniesienia. Inna sprawa, że kandydaci do jej ręki są rozgarnięci jak siano widłami.

W „Meridzie...” znajdziemy dużo okazji do śmiechu – tym razem przeważnie sytuacyjnego, a nie wynikającego z zapadających w pamięć powiedzonek, chociaż parę zgrabnych linijek się pojawia. Bywa też dramatycznie, a nawet groźnie. Całość jest pięknie i starannie animowana – już w zwiastunach dało się zobaczyć, jak imponująco prezentuje się burza rudych włosów głównej bohaterki, a to nie jedyne pole, na którym Pixar stale dokonuje postępów. Także 3D wygląda dobrze – stanowi mądre dopełnienie obrazu, a nie gadżet stosowany sztuka dla sztuki. Zwraca na siebie uwagę świetnie dopasowana ścieżka dźwiękowa. Całość jest wyśmienita. I jedyne, czego tym razem brakuje, to brzmienie głosów aktorów podkładających je w oryginale – melodii języka i akcentu, którego w dubbingu nie da się odtworzyć (i zresztą dobrze, że nie próbowano).

Jerzy Rzymowski

MERIDA WALECZNA (*Brave*). Reżyseria: Mark Andrews, Brenda Chapman. Scenariusz: Mark Andrews, Steve Purcell, Brenda Chapman, Irene Mecchi. Muzyka: Patrick Doyle. Głosów użyczyli: Kelly Macdonald, Billy Connolly, Emma Thompson. W polskiej wersji: Dominika Kluźniak, Andrzej Grabowski, Dorota Segda. USA 2012.



ŚWIĘTUJEMY JUBILEUSZ!

30 LAT! ^{NOWA} Fantastyka

10 (361) 2012 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW

CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



FELIX, NET I NIKA
NA SREBRNYM
EKRANIE

PRÓSZYŃSKI
MEDIA

ISSN 0867-132X



9 770867 132206

10

INDEXS 358398

OPOWIADANIA:
JEFFREY FORD
LUCIUS SHEPARD
ZBIGNIEW WOJNAROWSKI

ROZCZNIKOWO:
KOŁODZIEJCZAK
O KOMIKSIE
CETNAROWSKI
O PROZIE POLSKIEJ
PODRZUCKI
O NAUCE
PAROWSKI
WSPOMINA

Ilustracja okładowa: Piotr Rosner

...I SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA WSZYSTKICH

PRZEMYSŁAW PIENIAŻEK

**STRÓŻ PRAWA, ŁAWA PRZYSIĘGLYCH I EGZEKUTOR
W JEDNYM. LEGENDA BRYTYJSKIEGO KOMIKSU.
PROSZĘ WSTAĆ I PORZUCIĆ WSZELKĄ NADZIEJĘ
- SĘDZIA DREDD IDZIE!**

Kiedy po serii konfliktów Ziemia stała się radioaktywnym pustkowiem, ludzkość szukała nowej szansy, żyjąc w postapokaliptycznych konurbacjach na miarę XXII wieku. Jedną z nich jest wzniesione na gruzach Nowego Jorku Mega-City One. W podzielonej na 305 sektorów metropolii, hołdującej zasadzie genetycznego apartheidu, żyje blisko 400 milionów mieszkańców stłoczonych w gigantycznych blokowiskach. Handel bronią i ludzkimi organami, zamachy terrorystyczne, wojny między blokami – to tylko niektóre pozycje z długiej listy przestępstw „regulowanych” przez metropolitalnych funkcjonariuszy zwanych Sędziami.

NOWY PORZĄDEK

Koncepcję wdrażanego w latach 2027-2031 systemu ulicznego sądownictwa opracował prokurator Eustace Fargo, przyjmując za cel przyspieszenie procesu wymierzania sprawiedliwości. Po Trzeciej Wojnie Światowej (2070) Sędziowie obalili demokratyczny rząd USA, wprowadzając – przy poparciu obywateli – dyktatorską formę rządów, która niebawem upowszechniła się w większości aglomeracji świata.

Trzon systemu prawnego stanowią Sędzia Przewodniczący oraz Rada Pięciorga, której podlegają kolejne referaty systemu administracyjno-prewencyjnego, ale także Special Judicial Squad (Wydział Spraw Wewnętrznych), Psi Division (zatrudniający funkcjonariuszy o paranormalnych zdolnościach) oraz specjalizujący się w samobójczych misjach Holocaust Squad. Sędziowie, podejmujący również sprawy cywilne, nie stoją ponad prawem. Za każde wykroczenie są karani surowiej niż zwykli obywatele – tam, gdzie ktoś inny dostałby kilkumiesięczny wyrok, ich może czekać nawet dwudziestoletnia odsiadka, potążona z ciężką pracą na księżycu Saturna.

GLINIARZ I PROKURATOR (W JEDNYM)

Sędzia to nie funkcja – to styl życia. Do Akademii Prawa trafiają już pięcioletnie dzieci lub odpowiadające im wiekiem klony o genetycznie przyspieszonym rozwoju, z komputerowo wszczepioną świadomością. Po 15 latach intensywnych treningów kadeci opuszczają mury placówki, by wziąć udział w „Biegu Hot Doga” – bojowym szkoleniu rozgrywanym na Przeklętej Ziemi. Po zakończeniu edukacji aspiranci otrzymują tytuł „żółtodziobów”, uprawniający ich do noszenia regulaminowych mundurów, białych hełmów („etatowym” Sędziom przysługują czarno-czerwone) oraz połowy odznaki w kształcie orła Temidy. Najważniejszą chwilą w życiu „białogłowego” jest pierwszy patrol w asyście doświadczonego stróża prawa. Potem przychodzi czas na zawodową rutynę. Niezwykle przydatny okazuje się uzbrojony i nafaszerowany elektroniką motocykl Lawmaster, jak również podręczna broń: dubeltówka, nóż, pałka oraz Lawgiver – aktywowany rozpoznaniem odcisku palca lub kodu DNA pistolet maszynowy, wystrzeliwiający kilka rodzajów pocisków. Po zakończeniu czynnej służby Sędzia może podjąć pracę administracyjną bądź akademicką albo przejść w stan spoczynku. Ten ostatni wariant (zwany Długim Spacerem) wymusza na byłym funkcjonariuszu opuszczenie miasta oraz zamieszkanie w podziemnej metropolii lub na pustkowiu Przeklętej Ziemi, aby, zgodnie z porzekadłem, wprowadzać prawo tam, gdzie króluje bezprawie.

JESTEM PRAWEM

W 2066 roku Morton Judd wyhodował na bazie genotypu Eustace’a Fargo bliźnięta – Rico i Josepha. Zgodnie z nadanym przez „ojca” nazwiskiem (Dredd), mieli się



postrach w sercach przestępców. Chrzest bojowy przeszedł już cztery lata później, trafiając do pełnowymiarowej służby w czasie wojennej zawieruchy. Doświadczenie, upór i wrodzony talent sprawiły, że w 2079 roku „Mały Joe” został absolwentem Akademii Prawa, podobnie jak jego brat, który jednak szybko znalazł się po drugiej stronie barykady.

Aresztowany przez bliźniaka, Rico powrócił po dwudziestu latach, by ostatecznie zginąć z jego ręki. Mimo zmiennych kolei losu, Dredd pozostał wierny etosowi ulicznego strażnika prawa, odrzucając stanowisko Sędziego Przewodniczącego. W jego życiu znaczącą rolę odegrały bratanci Vienna oraz Cassandra Anderson i Galen DeMarco, lecz więzy rodzinne i uczucia zawsze przegrywały z poczuciem zawodowego obowiązku. Niejednokrotnie wrabiany i oczerniany, bronił mieszkańców przed naporem wrogich sił, stając do walki z Sędzią Śmiercią (demonicznym stworzeniem z innego wymiaru, uznającym wszelkie przejawy życia za największą zbrodnię), korumpującym miasto Sędzią Caligulą, seryjnym mordercą Philipem Janet Maybe, czy z cyborgiem Paskudną Maszyną oraz resztą socjopatycznej rodziny Elmera Angela. Dredd nie jest fanatycznym, pozbawionym sumienia narzędziem. Niejednokrotnie kwestionował karygodne rozkazy, zastanawiając się nad etyką systemu.

ŁAWA OSKARŻONYCH

Wydawca tygodnikowej antologii „2000 AD” Pat Mills, zwany „ojcem chrzestnym brytyjskiego komiksu”, zaproponował przed laty scenarzyście Johnowi Wagnerowi opracowanie koncepcji nowego bohatera, który niczym „Bрудny Harry” Callahan zaprowadzałby porządek na ulicach futurystycznego Nowego Jorku. Wagner, razem z Peterem Harrisem oraz rysownikiem Mickiem McMahonem zabrali się do pracy, ignorując przykładowe planse autorstwa Millsa, którego „Judge Dredd” (pisownia prawidłowa)

ewoluował w stronę graficznego horroru. Pierwowzór postaci stworzył jednak Hiszpan Carlos Sanchez Ezguerra, który zgodnie z sugestią Wagnera podrasował nieco postać Frankensteina (David Carradine) – bohatera filmu „Wyścig śmierci 2000”. I chociaż debiutancki cykl „Wojny robotów” (1977) ilustrowało wielu artystów, Ezguerra jeszcze nie raz szkicował postać Sędziego, także w ramach współpracy z ukazującym się od 1990 roku miesięcznikiem „Judge Dredd: The Magazine” założonym przez Wagnera i Alana Granta. Ironiczne, bogate w odniesienia do świata polityki i popkultury perypetie Sędziego Dredda (początkowo czarnoskórego) podlegały jednemu niepisanemu prawu. Otóż dorosły Dredd zawsze musiał mieć na głowie hełm,



czyniący z protagonisty symbol pozbawionej oblicza sprawiedliwości. Wszelkie wyjątki pociągały za sobą konieczność stosowania wizualnych tricków, jak choćby szczelnie zalepiająca twarz Sędziego cenzorska nalepka.

PROCES PUBLICZNY

Dredd często stawał naprzeciw bądź ramię w ramię z bohaterami wydawnictw DC oraz Dark Horse, spotykając na swojej drodze Batmana (albumy „Sąd nad Gotham”, „The Ultimate Riddle” czy „Die Laughing”), ostatniego Czarniana („Lobo/Sędzia Dredd: Psychole kontra mutanci z piekła”), drapieżnych Yautja („Predator versus Judge Dredd”) czy ksenomorfy („Judge Dredd versus Aliens: Incubus”). W latach 90. oficyny Virgin Books oraz St. Martins Press próbowały wylansować książkowe odsłony jego przygód. Dekadę później pałeczkę przejęło wydawnictwo Black Flame. Z kolei Big Finish Productions przygotowało osiemnaście słuchowisk z Tobym Longworthem w roli głównej. W latach 80. Games Workshop wypuścił na rynek podręczniki do gry „Judge Dredd: The Role-Playing Game”. Sędzia zapuszczał się także w rzeczywistość wirtualną w przygodowej strzelance z 1997 roku oraz grze „Judge Dredd: Dredd Vs. Death” (2003). Charyzmatyczny Sędzia stał się inspiracją piosenek zespołów Anthrax („I Am the Law”), The Cure („Dredd Song”) czy The Manic Street Preachers („Judge Yr'Self”),

a brytyjska grupa Human League nawet zaczerpnęła z komiksów o nim swoją nazwę.

SĄD NAD X MUZA

Zrealizowany w 1995 roku „Sędzia Dredd” Danny'ego Cannona podzielił krytyków i widzów. Produkcja poniosła finansową klępkę, a Sylvester Stallone (zastępujący Arnolda Schwarzeneggera, który kategorycznie odmówił paradowania w plastikowym kasku) otrzymał nominację do Złotej Maliny. Czy kręconej w plenerach Kapsztadu brytyjskiej produkcji „Dredd” pisany jest łaskawszy los? Początkowo na stołku reżysera miał zasiąść Duncan Jones („Kod nieśmiertelności”), jednak zrezygnował wiedząc, że nie uda mu się przeforować swojej wizji. Zastąpił go Peter Travis („Ośiem części prawdy”), który zaadaptował scenariusz Aleksa Garlanda, („W stronę słońca” Danny'ego Boyle'a, „Nie opuszczaj mnie” Marka Romanka). Zatrudniony w charakterze konsultanta John Wagner w samych superlatywach wyrażał się o materiale Garlanda, stanowiącym ponoć spójne połączenie różnych wątków z komiksowej serii. Choć o angaż ubiegał się Michael Biehn, w roli tytułowej zobaczymy Karla Urbana, który – zgodnie z obietnicą twórców – ani razu nie zdejmie charakterystycznego hełmu. W ekranową partnerkę bohatera, Sędzię Anderson, wcieli się Olivia



Thirlby. Razem z Dreddem próbując powstrzymać chaos rozpętany w Mega-City One przez narkotyk Slo-Mo rozprowadzany przez Madeline „Ma-Ma” Madrigal (Lena Headey). Za warstwę wizualną odpowiada Anthony Dod Mantle (autor zdjęć do „Antychrysta” Larsa von Triera), który wedle zapewnień stworzył mroczne, neo-noirowe widowisko, nawiązujące do „Łowcy androidów” oraz „Mechanicznej pomarańczy”.

Jedną z charakterystycznych cech opowieści o Sędzim Dreddzie jest realizm czasowy. Pierwsze historie sprzed trzydziestu pięciu lat rozgrywały się w 2099 roku, tegoroczne epizody datowane są na 2134. Dziś „Mały Joe” jest panem po siedemdziesiątce, coraz bardziej odczuwającym zmęczenie, spadek sprawności oraz obecność raka dwunastnicy. Mimo to, nie składa broni, pozostawiając otwartą kwestię, czy po kilkudziesięcioletniej służbie przejdzie na zasłużoną emeryturę. ■



OD XERA DO BOHATERA

ANDRZEJ KACZMARCZYK

FANI GREEN ARROWA DOCZEKALI SIĘ WRESZCIE PREMIERY SERIALU „ARROW”. KIM WŁAŚCIWIE JEST TEN SUPERBOHATER? WSPÓŁCZESNYM ROBIN HOODEM, BATMANEM Z ŁUKIEM, CZEMPIONEM UCIŚNIONYCH, CZY BEZLITOSNYM MŚCICIELEM?

Oliver Queen, lepiej znany jako Green Arrow, zadebiutował w 1941 roku w „More Fun Comics” #73, na łamach którego debiutowali również tacy bohaterowie przyszłego DC Comics jak Aquaman i Spectre. Był archeologiem, którego superbohaterską karierę rozpoczęła konfrontacja z przestępcami usiłującymi przywłaszczyć odnaleziony przez Queenę skarb (później wykorzystany do sfinansowania działalności Zielonej Strzały). Ta wersja została później przekreślona, gdy legendarny scenarzysta Jack Kirby stworzył nową, obowiązującą (z mniejszymi lub większymi zmianami) do dziś. Według nowej historii Oliver był bogatym utracjuszem, który po tym, jak pijany wypadł ze swojej łodzi, wylądował na bezludnej wyspie i musiał nauczyć się walczyć o przetrwanie. Stał się sprawnym myśliwym, a wreszcie wyposażony jedynie w łuk stawiał czoła piratom atakującym statek, którym Oliver miał nadzieję wrócić do domu (w późniejszej wersji piratów zastąpili przemytnicy narkotyków).

Na początku kariery Green Arrow był bezwstydną kopią Batmana i powstał jako dość oczywista próba odcięcia kuponów od popularności obrońcy Gotham. Miał więc swój Strzałomobil, Strzałolot, a nawet Jaskinię Arrowa. W „cywilu” Queen był bogatym playboyem podobnym do Bruce’a Wayne’a, a w walce z przestępczością wspierał go wzorowany na Robinie młody pomocnik Speedy. Całe dekady później, w wydanej również w Polsce historii „Kotczan”, Batman wprost spytał Olivera: *Dobry Boże, człowieku, czy miałeś wtedy JAKIEKOLWIEK oryginalne pomysły?* Nie miał, i musiał czekać niemal trzy dekady na wykorzystanie drzemącego w jego postaci potencjału.

POD ZIELONĄ LATARNIĄ

Przełom lat 60. i 70. był początkiem zmian w amerykańskim komiksie. Odchodzono od campowych, kiczowatych historyjek na rzecz poważniejszych scenariuszy, a kamieniem milowym na tej drodze była seria z Arrowem w roli głównej. Swoją nową świetność Oliver Queen zawdzięczał Nealowi Adamsowi i Dennisowi O’Neilowi. Pierwszy dał mu nowy kostium (i charakterystyczną bródkę), a drugi, zainspirowany nowym, poważniejszym wyglądem bohatera, przydzielił mu główną rolę w nowej serii wspólnej z innym „zielonym” herosem DC, Green Lanternem. „Green Lantern/Green Arrow” to do dziś jedna z najśłynniejszych amerykańskich serii komiksowych. Zamiast na złoczyńcach w kolorowych strojach i walce z groźnymi kosmitami seria O’Neila skupiała się na problemach takich jak korupcja, rasizm i narkotyki. Arrow dał się poznać od zupełnie nowej strony: pozbawiony majątku stał się obrońcą szarych obywateli, oburzonym niesprawiedliwością i społecznymi nierównościami. Podczas gdy lewicowy Green Arrow, któremu przypisywano pogląd, że wszyscy gliniarze to faszysty, nawoływał do zmian i szybkiego działania, Hal Jordan, czyli Green Lantern, prezentował bardziej konserwatywne stanowisko – wolał trzymać się istniejącego



systemu i skoncentrować na zwalczaniu przestępczości. Mimo różnic, a może dzięki nim, obaj bohaterowie stali się bliskimi przyjaciółmi.

Lata 80. przyniosły kolejne zmiany. W 1983 roku Green Arrow po raz pierwszy stał się bohaterem własnej solowej serii, a w 1987 ukazała się kultowa historia „The Longbow Hunters” Mike’a Grella. Grell, autor który dla Zielonej Strzały stał się tym, kim Frank Miller dla Batmana, przedstawił czytelnikom możliwie najbardziej realistyczną wersję łucznika-mściciela. Zniknęły strzały-gadżety których dotąd używał, zastąpione prawdziwymi, zabójczymi pociskami, historia była brutalna, a Queen musiał stawiać czoła nie tylko okrutnym przestępcom, ale również świadomości, że nie ma już dwudziestu lat, świat się zmienił i pewna bez troska epoka odeszła bezpowrotnie.

Grell został stałym scenarzystą serii na kolejne osiemdziesiąt numerów, aż do 1994 roku. Jego „Green Arrow” publikowany był w ramach linii komiksów przeznaczonych dla dorosłych czytelników, która później wyewoluowała w słynne Vertigo. W tym czasie Arrow został niemal odseparowany od reszty uniwersum DC, i przy nielicznych okazjach kiedy inni bohaterowie wydawnictwa pojawiali się gościnnie w jego serii, robili to zawsze „w cywilu”, kostiumy

i supermoce zostawiając za progiem. Nawet pseudonim głównego bohatera wydawał się Grellowi zwyczajnie głupi i nie pojawiał się w jego komiksach (oprócz, rzecz jasna, tytułu serii).

ŻYCIE, ŚMIERĆ I NOWE ŻYCIE

Po odejściu od serii Grella, Green Arrow został „przywrócony” mainstreamowi w dziesięcioczęściowej historii „Cross Roads”, w której spotkał wielu bohaterów oraz antybohaterów świata DC. Był to dla niego początek upadku. W „Cross Roads” Oliver uciekł się nawet do stosowania broni palnej i zabijał z zimną krwią. Finał historii zbiegł się z „Zero Hour”, wydarzeniem które obejmowało całe uniwersum DC – Hal Jordan, dawny Green Lantern, zwrócił się najpierw przeciw innym Zielonym Latarniom, a potem przeciwko całemu wszechświatowi, który zamierzał zniszczyć i odtworzyć według



swojej wizji. W kulminacyjnej bitwie z udziałem wielu najpotężniejszych herosów, to właśnie Green Arrow zadał ostateczny cios, trafiając osłabionego Jordana w serce i, jak się wydawało, zabijając go.

Niedługo później Queen zginął w wybuchu bomby ratując mieszkańców Metropolis, a rolę Green Arrowa przejął Connor Hawke. Hawke, nieślubny syn Olivera, który poznał ojca niedługo przed jego śmiercią, pełnił rolę Green Arrowa przez kolejnych pięć lat, ale jak wiadomo śmierć w komiksach to jedynie chwilowa niedogodność, nawet jeśli z twojego ciała nie zostało nic, co dałoby się pochować. I tak Oliver Queen powrócił do świata żywych w 2000 roku we wspomnianym „Kołczanie”.

Po swoim zmartwychwstaniu Green Arrow zajął wreszcie prominentne miejsce wśród herosów DC. Przez pewien czas pełnił nawet funkcję burmistrza Star City i odegrał kluczową rolę w wielu z najważniejszych komiksów ostatniej dekady, takich jak fenomenalny „Identity Crisis” Brada Meltzera, „Green Lantern: Rebirth” Geoffa Johnsa czy kontrowersyjny „Cry for Justice” Jamesa Robinsona. Niestety, dni znanego fanom doświadczonego przez życie i stanowiącego podporę super bohaterkiej społeczności Arrowa miały się ku końcowi...



MAŁY EKRAN I DRUGA MŁODOŚĆ

Green Arrow nigdy nie trafił na ekrany kin. Swego czasu głośno było o scenariuszu Davida Goyera, opowiadającym o bohaterze uciekającym z najlepiej strzeżonego więzienia na świecie, pełnego komiksowych czarnych charakterów, lecz realizacja filmu nigdy się nie rozpoczęła. Zupełnie dobrze radzi sobie za to w telewizji. Pojawiał się w drugoplanowych rolach w wielu serialach animowanych, takich jak „The Batman” czy „Young Justice”, najważniejszą rolę odegrał jednak w „Justice League Unlimited”, serialu kontynuującym wątki kultowych „Batman: The Animated Series” i „Superman: TAS”. W „Lidze” Oliver brał udział w wielu wydarzeniach związanych z wątkiem projektu „Cadmus”, przygotowywanego przez rząd USA na wypadek gdyby niezwykle potężni superbohaterowie zrzeszeni przez Ligę stali się zagrożeniem. W skomplikowanym konflikcie między superludźmi i Cadmusem Green Arrow pełnił rolę moralnego kompasu drużyny. Jak sam powiedział, to on pilnował strażników. Tymczasem w znacznie lżejszym, niemal komediowym, „Batman: The Brave and the Bold” często pojawiał się Green Arrow wzorowany na oryginalnej wersji sprzed lat 70. Jego podobieństwo do Batmana obrócono w żartobliwą, przyjacielską rywalizację między dwoma bohaterami.

Prawdziwą popularność poza komiksowym światkiem przyniosła mu rola w poświęconym młodemu Supermanowi „Smallville”, gdzie zaczął pojawiać się w szóstym sezonie, a w ósmym dołączył do stałej obsady. Żeby było zabawniej, to właśnie podobieństwom do Batmana zawdzięczał tę rolę. Warner Bros. nie chciało wprowadzać Nietoperza do serialu z powodu rozkręcającej się w najlepsze nowej serii kinowych przebojów, więc zastąpiono go Zieloną Strzałą. Rzecz jasna, tak jak serialowy Clark Kent, tak i Oliver Queen był znacznie młodszy od komiksowego pierwowzoru (którego w ogóle nie trzymano się przesadnie).

Niestety, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że zamiast przenieść komiksowego Green Arrowa do serialu, postąpiono odwrotnie i nowa wersja Olivera Queena w komiksach po restarcie DC bardziej niż dawnego Arrowa przypomina właśnie młodzieńca ze Smallville. Lata, których mu ujęto, to lata ciężkich doświadczeń, bohaterskich czynów i poważnych błędów, czyniące z niego złożoną, wielowymiarową postać. Podczas gdy dawny Oliver mógł stawać w jednym szeregu z Supermanem i Batmanem, dzisiaj Liga Sprawiedliwości traktuje go jak żart – i nie sposób odmówić im racji.

Pozostaje mieć nadzieję, że nowy „Arrow”, startujący właśnie w USA, przedstawi szerszej publiczności Green Arrowa bliższego komiksom Grella lub chociaż, co bardziej prawdopodobne, całkiem udanemu „Green Arrow: Year One”. Czy tak będzie? Trudno powiedzieć. Wprawdzie grany przez Stephena Amella Oliver Queen to znów młody mściciel dopiero rozpoczynający karierę, ale to samo tyczy się Green Arrow z „Year One”, który mimo to nie był nastoletnią i gadzeciarską wersją herosa. Oliver Queen przeszedł daleką drogę od kopii Batmana i chociaż po dużym i małym ekranie biega teraz więcej superbohaterów niż kiedykolwiek, bardzo brakuje wśród nich takiej postaci, jaką z czasem stał się Green Arrow. ■

MIESIĄC W KINIE: „PAMIĘĆ ABSOLUTNA”, „ODWRÓCENI ZAKOCHANI” I „TED”

MARCIN ZWIERZCHOWSKI

JEDNI NIE MIELI AMBICJI, ROBILI REMAKE’A. DRUDZY – EUROPEJCZYCY
– MIELI AMBICJE WIZUALNE. A TRZECI PO PROSTU ROBILI SOBIE JAJA.
ŁATWO ZGADNAĆ, KTÓRYM WYSZEDŁ NAJLEPSZY FILM.



Ci bez ambicji to twórcy nowej wersji „**Pamięci absolutnej**”. Bądźmy jednak uczciwi: wymagamy jej od tego typu produkcji? Niespecjalnie. Od czasu do czasu każdy ma ochotę obejrzeć „Transformersy” albo kolejną część „Resident Evil” – ten pierwszy film nie udaje, że jest czymkolwiek więcej poza pełnym patosu widowiskiem, ten drugi jest natomiast tak przegięty i bzdurny, że aż śmieszny. I super. Zdarzają się jednak, zwłaszcza na polu SF, produkcje stojące w rozkroku – mają być i widowiskowe, i angażować intelekt widza. Niekiedy się udaje, jak choćby w przypadku „Incepcji”, najczęściej kończy się kląpą – „Battleship: Bitwa o Ziemię”. Pół biedy, jeśli film jest tak ładny, że strona wizualna rekompensuje braki fabularne (tak, „Prometeusza”, do ciebie mówię).

Istnieje jednak jeszcze jeden rodzaj – mdły blockbuster. Doskonałym przykładem jest „John Carter”, który ani nie był specjalnie ładny, ani mądry (choć i tak nie obrażał inteligencji widza, co jest zaletą). Podobnie z „Pamięcią absolutną”, z tym że tutaj już nic nie zagrało. Efekty specjalne poprawne, ale bez pomysłu na coś wgniatającego w fotel. Scenariusz idiotyczny i z mnóstwem dziur logicznych, momentami przebijający nawet pomysł wysadzenia Marsa, aby Ziemia wskoczyła na jego miejsce, który był rozważany przy jednym z wcześniejszych draftów historii. Obsada bardziej drewniana od Pinokia. No i reżyser, nie mogący się zdecydować, czy chce sfilmować jeden wielki pościg, czy jednak film fantastyczno-naukowy z fabułą, przez co dziesiątki scen kaskaderskich przeplatane są króciutkimi scenami, w których bohaterowie wymienią kilka zdań, a następnie wyskakują przez okno, bo znowu ktoś ich ściga.

Choć nie jestem wielkim fanem wersji ze Schwarzeneggerem, po seansie krzychałem: *Arnold, wróć!*

Innym przypadkiem są „**Odwrócenie zakochani**” Solanasa. Reżyser i scenarzysta w jednym miał ciekawy koncept, zabrakło jednak sił i wyczucia na wykończenie. Mamy więc dwa światy – górny i dolny – o odwróconej względem siebie nawzajem grawitacji. Jest to punkt wyjścia dla wielu pięknych, niezwykle malowniczych ujęć. I na tym koniec. Reszta to mdlawa historia miłosna znerwicowanego nastolatka w ciele dwudziestoparoletniego mężczyzny i jego dziewczyny z amnezją (co za kiepski wybieg fabularny!). Gra Kirsten Dunst sprowadza się do maślanego wzroku i kilku uśmiechów, Strugess zaś pomylił plany, bo wyraźnie myślał, że gra w komedii. Nie wiem też, kto wpadł na pomysł, aby właśnie z niego uczynić narratora, na pewno jednak będzie się za to smażył w piekle – Strugess czyta niczym chłopczyk na szkolnym przedstawieniu.

Szkoda, bo pomysł na fabułę był tak szalony, że aż urokliwy, otwierał też mnóstwo furtek ciekawym wątkom. Solanas uznał jednak, że całej tej oryginalności i świeżości już wystarczy, strona wizualna jest ciekawa, fabuła może więc być sztampowa, wręcz pretekstowa, a zakończenie tak cudnie cukierkowe, że widzom zbierze się na wymioty.

Na szczęście jest jeszcze „**Ted**”. Historia zabawkowego misia, który nagle ożył,

a z czasem dorósł, u swych fundamentów jest kolejną love story z cyklu: ona była cudowna, on roztrzępany, ale baaardzo się kochali. Różnicę robią szczegóły, a dokładnie jeden, bardzo kudłaty, bardzo wyszczerkany, wulgarny, prostoliniyny i złośliwy. W skrócie: Teda nie da się nie lubić. Owszem, humor jest niewybredny, czasami przekraczana jest granica dobrego smaku, zdecydowana większość żartów wywołuje jednak u widzów napady śmiechu. A przecież o to chodzi.

„Ted” to produkt swoich czasów. Film idący o krok dalej niż „American Pie”, bo mający za sobą lata rozwoju Internetu, który nie pozostał bez wpływu na poczucie humoru nas wszystkich. Seth MacFarlane zaryzykował, balansując na granicy, miał jednak przy tym wystarczające wyczucie, by bawić, a nie wywoływać zażenowanie. Efekt to komedia roku.

PAMIĘĆ ABSOLUTNA 2012 (*Total Recall* 2012). Reżyseria: Len Wiseman. Scenariusz: Kurt Wimmer, Mark Bomback. Zdjęcia: Paul Cameron. Muzyka: Harry Gregson-Williams. Występują: Colin Farrell, Kate Beckingsale, Jessica Biel. Kanada, USA 2012

Ocena: 2/6

ODWRÓCENI ZAKOCHANI (*Upside Down*). Reżyseria: Juan Diego Solanas. Scenariusz: Juan Diego Solanas, Santiago Amigorena, Harris Demel. Zdjęcia: Pierre Gill. Muzyka: Benoît Charest. Występują: Jim Struggess, Kirsten Dunst, Timothy Spall. Francja, Kanada 2012

Ocena: 3/6

TED. Reżyseria: Seth MacFarlane. Scenariusz: Seth MacFarlane, Alec Sulkin, Wellesley Wild. Zdjęcia: Michael Barret. Muzyka: Walter Murphy. Występują: Mark Wahlberg, Mila Kunis, Seth MacFarlane. USA 2012

Ocena: 5/6

Chociaż nazwisko Philipa K. Dicka nie pada nigdzie w serialu, jego duch unosi się nad „Pamięcią absolutną 2070”.

Androidy wyśnią to panu hurtowo

JERZY RZYMOWSKI

© Artur Kazorek



Chcąc nawiązać w felietonie do jubileuszu „NF”, zacząłem sprawdzać, jakie seriale miały premierę trzy dekady temu. Pierwsze rzuciło mi się w oczy „Allo, allo” – można je oglądać na wrywki i wciąż pozostaje niezmiennie śmieszne, ale trudno uznać za fantastykę. Podobnie sprawa wygląda z „Wydziałem Specjalnym” („Police Squad!”) – przekomicznym sześcioodcinkowym serialem, który stał się punktem wyjścia dla filmowej trylogii „Naga broń” (mało kto pamięta, że pierwsza część nosiła nawet podtytuł: „Z akt Wydziału Specjalnego”). Trzeci typ to fantastyka: „Nieustraszone”, czyli „Knight Rider” – zapewne wielu widzów pamięta kultową opowieść, w której David Hasselhoff zwalczał przestępczość z pomocą inteligentnej superbryki zwanej K.I.T.T. Myślę jednak, że napiszę o nim przy innej okazji, może wyciągając od razu z garażu inny samochód przyszłości – „Viper”.

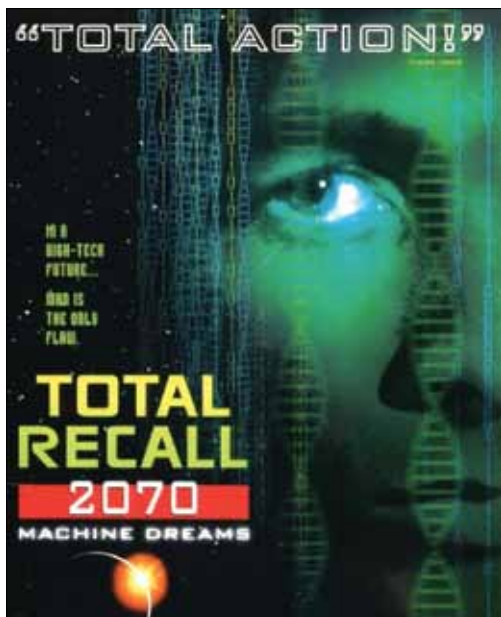
Wbrew tytułowi, serialowej „Pamięci absolutnej” bliżej do „Blade Runnera” – zarówno mroczną stylistyką, mocno inspirowaną filmem Scotta, jak tematycznie, bo spinająca całość intryga dotyczy samoświadomych, czujących androidów.

Głównymi bohaterami jest para policyjnych detektywów – David Hume i Ian Farve. Poprzedni partner Hume’a zginął z ręki androida, więc gliniarz nie darzy maszyn zaufaniem. I tu zaczyna robić się ciekawie – dokładnie w momencie, gdy okazuje się, że Farve także jest androidem. I to nie byle jakim, tylko egzemplarzem z niezwykle zaawansowanej technologicznie klasy Alfa, której istnienie jest główną osią intrygi. Jak łatwo przewidzieć, w rozgrywkę wmieszane są globalne korporacje – wśród nich pamiętna Rekal.

Mamy tu zatem androidy tak zaawansowane, że niewiele dzieli je od ludzi – jak w „Łowcy androidów”. Mamy też tajemnice i spiski, taksówki „Johnny Cab” i wirtualne wakacje – jak w „Pamięci absolutnej”. Potężne korporacje i skolonizowany Mars – to cecha wspólna ich wszystkich. Z jednej strony dostajemy typowy serial kryminalny w futurystycznej scenerii – w każdym odcinku zagadka; z drugiej gdzieś w tle rozwija się stopniowo główny wątek. Wbrew tytułowi, serialowej „Pamięci...” bliżej jednak do „Blade Runnera” – zarówno mroczną stylistyką, mocno inspirowaną filmem Scotta, jak tematycznie, bo spinająca całość intryga dotyczy samoświadomych, czujących androidów – takie, jak Farve. A w poszczególnych epizodach przewija się cała gama tematów znanych z fantastyki naukowej. Na przykład czarny rynek wspomnień z odcinka „Nothing Like the Real Thing” kojarzy się z „Dziwnymi dniami”, Komisja Kontroli Urodzeń z „Baby Lottery” to mokry sen eugeników, a w „Astral Projection” pojawia się kamień, który może być artefaktem starożytnej cywilizacji z Marsa. I warto podkreślić, że scenarzyści odwalli w serialu kawał solidnej roboty.

Dwa słowa o głównych bohaterach. O ile Michael Easton w roli Hume’a nie wybija się szczególnie ani na plus, ani na minus, warto docenić Karla Prunera, który wciela się w Iana Farve’a. Jego bohater, początkowo śmiesznie naiwny, z czasem uczy się, coraz więcej rozumie, ale stale pozostaje odczłowieczony. Być może ma w tym swój udział jego fryzura – nota bene, czy zauważyliście, że niemal za każdym razem ekranowego androida da się rozpoznać po uczesaniu?

Kiedy filmowcy biorą się za opowiadania Philipa K. Dicka, rzadko wychodzi z tego coś dobrego. Zazwyczaj próbują uzupełniać krótkie fabuły swoimi pomysłami, żeby wypełnić czas ekranowy i w tym momencie rodzą się potworki. Od dawna uważam, że o wiele rozsądniej byłoby zrobić z tych opowiadań serial-antologię, w rodzaju „Po tamtej stronie” czy „Mistrzów science-fiction” – nie pompować na siłę scenariuszy konceptami wyciąganymi z miejsc niegodnych filozofa, tylko skupić się na tym, co stworzył Dick. Nie wiem, czy doczekam czasów, gdy ktoś w Hollywood pójdzie po rozum do głowy i zapewni tekstom tego genialnego pisarza odpowiednie traktowanie. Do tego czasu widzom pozostaje przynajmniej „Pamięć absolutna 2070”. I chociaż nigdzie nie pada jego nazwisko, duch twórcy „Blade Runnera” unosi się nad kanadyjskim serialem. Szkoda tylko, że – jak wszystkie tytuły, które opisywałem do tej pory – także ten przetrwał zaledwie jeden sezon.



Kadr z serialu „Pamięć absolutna 2070”

ŚWIĘTOWANIE JUBILEUSZU TRWA!

30
LAT!

NOWA Fantastyka

11 (362) 2012 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI

CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)

ROZDZIAŁ:

JACEK DUKAJ

O PROZIE ZAGRANICZNEJ

KONRAD WĄGROWSKI

O FILMIE

OPOWIADANIA:

TERRY PRATCHETT

ANDRZEJ ZIEMIAŃSKI

CATHERYNNE M. VALENTE

– ŚWIATOWA PREMIERA

RECENZJE Z LAMUSA

BACIGALUPI ZABIJA

DOBRYCH LUDZI

PRÓSZYŃSKI
MEDIA

© Cyril van der Haegen
www.tegehel.org

ISSN 0867-132X



11

INDEKS 358398

9 770867 132206

FILM TO ZA MAŁO

MARCIN ZWIERZCHOWSKI



Trójwymiarowy billboard promujący film „Mroczny Rycerz Powstaje”

Twórcy „BLAIR WITCH PROJECT” ZBILI FORTUNĘ, BO NABRALI WSZYSTKICH, ŻE ICH HORROR TO DOKUMENT. „AVENGERS” SZTURMEM WZIĘLI BOX OFFICE, PONIEWAŻ PRZED PREMIERĄ INTERNET KIPIAŁ OD ZWIĄZANYCH Z FILMEM MATERIAŁÓW. BEZ POMYSŁOWEJ KAMPANII WIRUSOWEJ NIE MA MOWY O KASOWYM SUKCESIE.

W 1999 roku świat poznał historię wiedźmy z Blair, która miała grasować w lasach amerykańskiego stanu Maryland i porywać turystów. Znalaziono film, rzekomo nagrany w 1994 roku przez troje młodych studentów filmoznawstwa, którzy zapuścili się w leśne ostępy, by już nigdy ich nie opuścić. Zaciekawieni internauci szukali w sieci informacji o zjawie i trafiali na stronę www.blairwitch.com. Tam zaś mogli zapoznać się ze zgromadzonymi przez policję dowodami, obejrzeć galerię zdjęć, wycinki prasowe, wypowiedzi ekspertów oraz wywiad z matką zaginionej Heather Donahue. Przede wszystkim czytali jednak o wiedźmie. I wierzyli. Wierzyli do tego stopnia, że gdy tylko film trafił do kin, musieli na własne oczy przekonać się, czy to wszystko prawda. Wierzyli tak mocno, że nawet gdy grający porwanych przez wiedźmę studentów aktorzy zaczęli pojawiać się w mediach, udzielając wywiadów, oni wciąż byli przekonani, że zjawy z Blair istnieje. W ten oto sposób narodziła się jedna z najbardziej znanych współczesnych *urban legend*, a zrobiony za śmieszne 15 000\$ film zarobił na całym świecie ponad ćwierć miliarda.

JOKER TWORZY ARMIE

To był przełom. Okazało się, że niedroga kampania w internecie może być równie skuteczna, co pochłaniające góry pieniędzy billboardy i spoty telewizyjne. Kluczowym jest, aby była pomysłowa, bo internauci nie lubią reklam – albo je ignorują, albo instalują oprogramowanie blokujące. Jeżeli natomiast uda się stworzyć coś, co wyda im się interesujące, będą rozsyłać to swoim znajomym, ci z kolei przekażą wiadomość dalej, i dalej – nazywa się to *vira-*

lem, a samą kampanię marketingiem wirusowym, ponieważ użytkownicy „zarażają” się nawzajem.

Podejścia mogą być różne. Twórcy kolejnej odsłony przygód Batmana, filmu „Mroczny Rycerz”, postanowili działać z rozmachem. Zaczęło się od strony IBelieveInHarveyDent.com, gdzie zamieszczono banner z kampanii wyborczej kan-

Tort z ukrytą wiadomością od Jokera



MISSING



On October 21, 1994, Heather Donahue, Joshua Leonard and Michael Williams hiked into Maryland's Black Hills Forest to shoot a documentary film on a local legend, "The Blair Witch." They were never heard from again.

One year later, their footage was found, documenting the students' five-day journey through the Black Hills Forest, and capturing the terrifying events that led up to their disappearance.

EVIDENCE EXISTS...

LOG ON TO www.blairwitch.com TO SEE AND HEAR

- Audio and video footage of the students' terrifying journey through the Black Hills
- Interviews with authorities in the case
- The journal kept by missing student/filmmaker Heather Donahue

Subscription Info: 1994, 27¢/copy
Actual Issue: Issue 1 - Issue 2
ISSUES

The Gotham Times

Volume 2

BATMAN SAVIOR OR MENACE?



THE MAKING OF HARVEY DENT

LANDSLIDE WIN FOR HARVEY DENT



owym wyglądzie słynnego kłowna. Ci, którzy to zrobili, otrzymali papierowe wydanie gazety „The Gotham Times”, dostępnej również pod TheGothamTimes.com. Znaleźć tam można 4 strony artykułów z miasta Batmana, między innymi o korupcji w policji, imprezowym życiu Bruce'a Wayne'a oraz śmierci młodej dziewczyny, najprawdopodobniej ofiary wojny gangów (upamiętniono ją na stronie RememberingGina.org). Co jasne, Joker nie próżnował i przygotował TheHaHaHaTimes.com, a więc te same historie, z pomocą nożyczek, kleju i markera zamienione w żarciki.

Największe miało jednak dopiero nadejść. Podczas gdy internauci byli zajęci przeglądaniem witryn GothamPolice.com (strona o stróżach prawa, z możliwością zapisania się do policji), WeAreTheAnswer.org (tutaj należało zamieszczać informacje o przestępstwach), GothamNationalBank.com (bank, który Joker okrada w pierwszych scenach „Mrocznego Rycerza”) oraz GothamCityRail.com (plan kolei miasta Gotham), na WhySoSerious.com pojawiła się zakładka „Step Right Up”. Wystarczyło zagrać w prostą grę, by wygrać misia. Misiów była ograniczona ilość, a każdy miał na sobie wypisany adres. Trzeba było tam się stawić (każdorazowo była to cukiernia) i przedstawić jako Robin Banks (gra słów – „robbin banks” to po angielsku „okradać banki”). Po spełnieniu tych warunków otrzymywało się tort z wypisanym na wierzchu numerem telefonu i poleceniem „Natychmiast do mnie zadzwoń.” Co jeżeli nie miało się ze sobą komórki? I tak by się nie przydała. Telefon należało wykonać z aparatu schowanego wewnątrz tortu. Oprócz niego w pokrytej warstwą ciasta policyjnej

Subscription Info: 1994, 27¢/copy
Actual Issue: Issue 1 - Issue 2
ISSUES

The Gotham Times

Volume 2

BAT FREAK BELONGS IN ARKHAM!



THE MAKING OF HARVEY DENT

S LAMESE TWIN S: HARVEY DENT



dydata na prokuratora miasta Gotham, Harveya Denta. Niedługo potem pojawiła się witryna IBelieveInHarveyDentToo.com, tym razem założona przez Jokera – głównego oponenta Batmana w „Mrocznym Rycerzu”, który na swój sposób przerobił oblicze przysięgłego prokuratora. Na czym polegało zadanie internautów? Za każdym razem, gdy ktoś wysyłał meila na podany na stronie adres, plakat się zmieniał, piksel po pikselu, by w końcu odstąpić pierwsze oficjalne zdjęcie Heatha Ledgera w filmowym makijażu.

Powstawały kolejne strony. Na WhySoSerious.com trzeba było złamać zaszyfowaną wiadomość, by przeskoczyć o witrynę dalej, a stamtąd trafić na RorysDeathKiss.com, gdzie tysiące osób, zgodnie z poleceniami Jokera, zamieszczało swoje zdjęcia w makijażu wzorowanym na fil-

torbie na dowody były jeszcze ładowarka, karta do gry z Jokerem oraz notatka z instrukcjami. Po wykręceniu numeru odzywała się pracowniczka firmy Rent-A-Clown (po ang. „wynajmij kłowna”), informowała dzwoniącego, że wie, kim ten jest, a następnie się rozłączała. Po kilku sekundach przychodził SMS: „Dobra robota, kłownie! Miej ten telefon zawsze przy sobie, pilnuj, żeby był naładowany. Nie dzwoń do mnie. Ja zadzwonię do ciebie... kiedyś.” W ten oto sposób Joker rekrutował członków swojej prywatnej armii, całą dobę pod telefonem, zawsze gotowych odpowiedzieć na wezwanie.

„Mroczny Rycerz” był jednym z najbardziej kasowych filmów w historii, a wspomagająca go kampania viralowa przyjmowana jest za wzór.

ALE O CO CHODZI?

Można jednak inaczej. Specem od wodzenia kinomaniaków za nos jest J.J. Abrams, twórca serialu „Zagubieni”, reżyser między innymi „Star Trek’a” i „Super 8”, producent filmu „Project: Monster”. Dwa ostatnie z wymienio-



Kadry z nagrań castingowych, na których różne roboty-artykuly sprzętu domowego ubiegały się o role w filmie „Transformers 3” ▲

Plakaty z przystanków autobusowych, ostrzegające ludzi przed Obcymi - element promocji „Dystryktu 9-ego” ►



nych obrazów były, na co zresztą wskazuje tytuł drugiego z nich, historiami o potworach. Sęk w tym, że przez większą część seansu widzowie owych monstrów nie widzieli, ponieważ stawiano na tajemnicę, hołdując zasadzie, że najbardziej przeraża nas to, czego nie znamy. Jak więc zaciągnąć ludzi do kina na film o potworach, nie mogąc zaprezentować ich ani na zdjęciach, ani w zwiastunach? Trzeba pokazać wszystko inne, tak aby ostatecznie pozostało jedno, najważniejsze pytanie: „Ale o co właściwie chodzi?” Odpowiedź przynieść mógł jedynie seans, sale kinowe pękały więc w szwach.

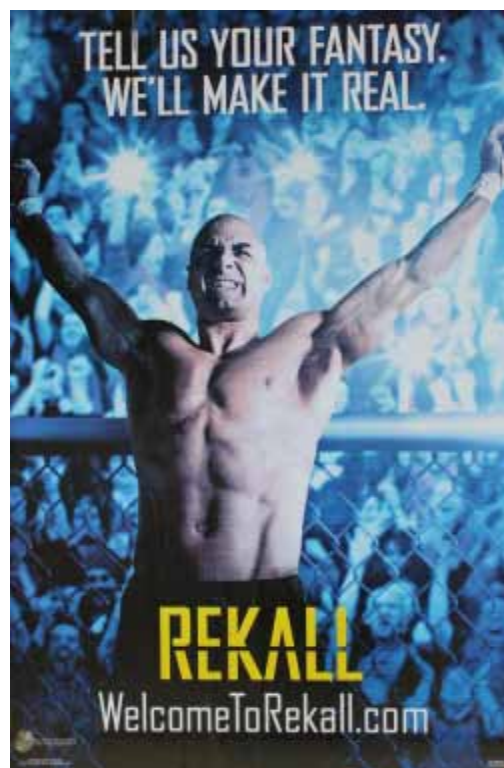
Podobnie zresztą było w przypadku „Dystryktu 9”, którego kampania opierała się głównie na rozklejonych na przystankach autobusowych w największych amerykańskich miastach plakatach z rysunkiem jakiegoś monstrum i napisem „Przystanek autobusowy. Wyłącznie dla ludzi. Zgłoś obecność nie-ludzi.” Do tego podany był numer telefonu i adres strony D-9.com. Większość osób nie miała nawet pojęcia, że chodzi o film, nawet ci bardziej domyślni nie znali natomiast ani tytułu, ani daty premiery. Kiedy więc twórcy obrazu uchylili rąbka tajemnicy, „Dystrykt 9” był na ustach wszystkich.

Obie filozofie – tajemniczość Abramsa i wypuszczanie do sieci udających prawdziwe materiałów ze świata filmu – połączył „Prometeusz”. Zaczęło się od tego, że Ridley Scott, twórca kultowego „Obcego” chciał nakręcić prequel hitu z lat 70. Później mu się odwidziało i zapowiadał, że obraz będzie samodzielnym projektem. Następnie znowu zmienił zdanie. I znowu. Ostatecznie stało na tym, że najnowszy obraz twórcy „Łowcy androidów” będzie i zarazem nie będzie powiązany z najstraszniejszym horrorem science fiction w historii. Czyli w zasadzie nie wiedzieliśmy nic, a pytanie, czy na ekranie pojawi się tytułowy Obcy pozostawało otwarte – prasa gdybała, internauci doszukiwali się wskazówek w niezwykle tajemniczych zwiastunach, o filmie było więc głośno na długo przed premierą.

To jednak producentom nie wystarczyło i postanowili przygotować dwa materiały bonusowe, których próżno szukać w samym „Prometeuszu”. Na oficjalnej stronie TEDTalks („Technology, Entertainment, Design” – organizowane przez Sapling Foundation konferencje na temat pomysłów, które mogą zmienić świat) pojawiło się nagranie z roku 2023 roku, na którym Peter Weyland (właściciel znanej z „Obcego” korporacji Weyland-Yutani; w tej roli świetny Guy Pearce) wygłasza płomienne przemówienie na temat rozwoju technologicznego ludzkości, z naciśkiem na stworzenie sztucznej inteligencji. Niedługo potem pojawiło się kolejne wideo – reklama androida David-8, produkowanego przez Weyland Industries (postawiono także stronę www.veylandindustries.com), którego w „Prometeuszu” gra Michael Fassbender. Oba filmiki były doskonale zagrane i świetnie zrealizowane, prace nad przemówieniem dla TEDTalks osobiście nadzorował Ridley Scott, a za reżyserię odpowiedzialny był jego syn, Luke.

HIT JESZCZE PRZED PREMIERĄ

Trzecim rodzajem kampanii promocyjnej filmu jest masowa produkcja związanych z nim materiałów, tak aby potencjalny widz na każdym kroku atakowany był informacją o zbliżającej się premierze. Pierwszym obrazem, który na kilka miesięcy przed wejściem do kin był już murowanym hitem był „Batman” z 1989 roku w reżyserii Tima Burtona. Kapelusze, koszulki, okulary, plakaty, breloczki do kluczy, nawet zestawy dla dzieci w popularnej sieci fast foodów – wszystko z charakterystycznym żółto-czarnym logiem Człowieka-Nietoperza, dostępne w sprzedaży na długo przed tym, jak sam film trafił do kin.



Plakat promujący klinikę Rekall z filmu „Pamięć absolutna 2012”

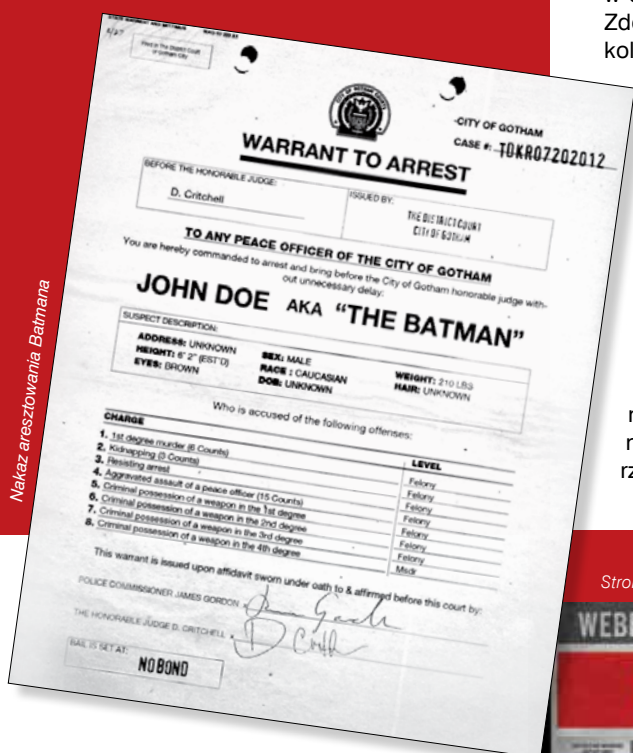
To były jednak czasy przed powstaniem internetu. Przykład nowoczesnej kampanii wirusowej, której efektem było niemalże wytapetowanie sieci zdjęciami, plakatami, zapętlonymi wycinakami ze zwiastunów i scenkami z filmu mogliśmy obserwować kilka miesięcy temu. Choć „Avengers” premierę mieli w maju, twarze ich bohaterów, a więc Iron Mana, Hulka, Thora, Lokiego, Czarnej Wdowy i innych od początku roku spoglądały na nas z każdego zakątka internetu, do czego w największym stopniu przyczyniły się portale społecznościowe. Część materiałów przygotowywali sami internauci, część była wypuszczana przez marketingowców i w ekspresowym tempie trafiała na serwisy takie jak 9gag.com czy polski kwejk.pl, a stamtąd za pomocą jednego przycisku na Tablice użytkowników Facebooka. Do tego dochodziły gadżety, a więc buty, stroje i napędy typy pendrive, wszystko stylizowane na tytułowych Mścicielach. Efekt był porażający – „Avengers” na całym świecie zarobili grubo ponad miliard dolarów.

O wadze i skuteczności przemyślanego marketingu wirusowego i umiejętnie przeprowadzonej kampanii w internecie przekonali się władze Disneya, którzy wielkie nadzieje pokładali w ekranizacji powieści Edgara Rice’a Burroughsa, „Johnie Carterze”. Zrealizowane z niezwykle rozmachem widowisko miało ogromne wsparcie w postaci reklam prasowych i billboardów, okazało się jednak totalną kląpą. Dlaczego? A co mogły dać wielkoformatowe reklamy, skoro potencjalni widzowie nie wiedzieli, co to w zasadzie za film? Nikt nie pomyślał o zaktywizowaniu miłośników fantastyki, nikomu nie przyszło do głowy przypomnieć internautom dokonań klasyki science fiction, na dodatek zwiastuny były chaotyczne i dla wielu osób po prostu niezrozumiałe (fani zirykowali się do tego stopnia, że z dostępnych kilku kiepskich trailerów sklecieli własny, znacząco lepszy od tego, który wypuściło studio). Wystarczy powiedzieć, że gdy film w końcu trafił do kin, mało kto wiedział, że ma do czynienia z ekranizacją książki z początku XX wieku, przez co obrazowi zarzucano wtórność względem „Avatara” (a przecież to James Cameron inspirował się prozą Burroughsa).

Wydano setki milionów na kampanie reklamowe i ani centa na promocję w internecie. Tymczasem inni woleli zainwestować w sieć i kreatywnością nadrabiali braki w budżecie promocyjnym. Twórcy horroru „Ostatni egzorcyzm” na przykład wkręcili użytkowników serwisu Chatroulette, którzy wchodzili na video-czata z pewną atrakcyjną młodą damą. Ta, uśmiechając się uroczo, zaczynała rozpinąć bluzkę, by po kilku sekundach zamienić się w demona, który rzucał się na ekran i przerażał chatowiczów na śmierć. Zdezorientowani użytkownicy widzieli tylko napis TheLastExorcism.com. Z kolei „Transformers 2” było promowane śmiesznymi filmikami z castingu, na których o role w hicie z wielkimi robotami starły się pralka, toster czy suszarka. Marketingowcy odpowiedzialni za promocję „Toy Story 3” odwoływali się natomiast do naszych wspomnień z dzieciństwa, produkując reklamę pluszowego misia, jednego z bohaterów animacji, stylizowaną na spoty z lat 80. Nowy „Conan Barbarzyńca” zachwycał ruchomym plakatem, na którym samotny wojownik stał na górze czaszek, a przed obejrzeniem „Incepcji” Christophera Nolana można było zagrać w grę online, której przejście odkrywało specjalny zwiastun filmu (w przypadku tego obrazu znaczącą rolę odgrywała także opisana wcześniej taktyka „Ale o co chodzi?”).

Czy bez takiego wsparcia te produkcje szturmem zdobyły box office? „Incepcja” i „Transformers 2” zapewne tak, „Ostatni egzorcyzm” prawie na pewno nie. Internet daje pomysłowemu marketingowcowi praktycznie nieograniczone możliwości promowania filmów, a ci ochoczo z nich korzystają. Na pewno jeszcze nie raz nas zaskoczą.

Strona dedykowana ujęciu groźnego przestępcy - Spider-Mana



CHATY Z DEMONAMI, CASTINGI ROBOTÓW I RUCHOME PLAKATY

Wszystko to składa się na przedłużone życie prenatalne filmu. Po premierze obraz zarabia przez kilka, góra kilkanaście tygodni. Tymczasem kampanie promocyjne rozpisywane są na całe półrocze, czasami nawet dłużej. Choć „Hobbit” w reżyserii Petera Jacksona wejdzie do kin dopiero w grudniu tego roku, pierwsze nagranie na videoblogu z planu pojawiło się już 15 kwietnia 2011 roku! Przez minione kilkanaście miesięcy twórcy historii Bilba, Gandalfa i trzynastu krasnoludów sukcesywnie ujawniali kolejne materiały, każdorazowo czyniąc z tego wydarzenie (najbardziej wyczekiwana była oczywiście premiera zwiastuna). Dzięki temu ci, do których dotarły materiały siedzą jak na szpilkach, a gdy tylko film wejdzie do kin, pędzą na pierwsze pokazy.



Jest w mojej głowie takie sprężenie:
ilekroć słyszę utwór „The Carnival Is
Over” duetu Dead Can Dance, myślę
o genialnym, przedwcześnie
zakończonym serialu HBO „Carnivàle”.

The carnival is over...

JERZY RZYMOWSKI

© Artur Kazorek



*U*zarania dziejów, po wielkiej wojnie pomiędzy Niebem a Piekłem, Bóg stworzył Ziemię i oddał ją pod panowanie sprytniej małpy, którą nazwał człowiekiem. W każdym pokoleniu rodziła się istota światła i istota mroku. Wielkie armie ścierały się nocami w odwiecznej wojnie między Dobrem a Złem. Były to czasy magii. Szlachetności i niewyobrażalnego okrucieństwa. Trwało to aż do dnia, w którym fałszywe słońce wybuchło nad Trinity, a człowiek na zawsze zastąpił cuda rozumem.

Stany Zjednoczone, połowa lat 30. XX wieku. Czas Wielkiego Kryzysu, gdy susze i burze piaskowe przetaczały się po Ameryce, niszcząc glebę i zmuszając ludzi do porzucenia rodzinnych farm lub zabijając ich pylicą. Trwająca siedem lat klęska żywiołowa, nazwana „Dust Bowl”, zostawiła wówczas bez dachu nad głową pół miliona Amerykanów. Ten dramatycznie ciężki okres stanowi tło dla akcji „Carnivàle” – jednego z moich ulubionych seriali i zarazem jednego z najlepszych seriali fantastycznych, jakie powstały.

Opowieść toczy się dwutorowo. Jeden wątek zaczyna się w Oklahomie, stanie najmocniej dotkniętym przez Dust Bowl. Młody Ben Hawkins, posiadający tajemniczą moc uzdrawiania, uciekając przed policją dotacza do tytułowego obwoźnego cyrku. Okazuje się, że losy chłopaka są nierozzerwalnie związane z cyrkowcami, a ich pojawienie się w jego rodzinnych stronach mogło nie być zbiegiem okoliczności. Równolegle poznajemy kalifornijskiego pastora metodystów, brata Justina Crowe’a, który odkrywa, że może czynić cuda i pragnie wykorzystać swe dary, aby pomóc ofiarom klęski żywiołowej. Nie jest to jednak łatwe, gdyż lokalna wspólnota wiernych krzywo patrzy na „przybłędów”.

Cytowany powyżej monolog wygłasza na początku pierwszego odcinka Samson – karzeł kierujący wesołym miasteczkiem w imieniu tajemniczego Zarządu, który nigdy opuszcza swej przyczepy (co sprawia, że niektórzy wątpią w jego istnienie). Od początku wiemy zatem, że będzie

to zwykła historia obyczajowa, tylko opowieść o magii i walce Dobra ze Złem. Sedno tkwi w tym, jak została ona przedstawiona.

Niezwykle rzadko pojawia się serial stanowiący dla widza takie wyzwanie intelektualne, jak „Carnivàle”. Pamiętam, jak po każdym odcinku poświęcone mu fora internetowe wrzały od dyskusji nad symboliką, ukrytymi znaczeniami wypowiedzi, imion, obrazów, czy wizji. Poszczególne kadry rozkładano na czynniki pierwsze, zwracając uwagę na takie detale, jak odbicia bohaterów w lustrze. Przegrzebywano Biblię i apokryfy, odwoływano się do wydarzeń i postaci historycznych oraz do symboliki tarota, który odgrywa w serialu olbrzymią rolę. I warto było skupić się przy oglądaniu i wypatrywać drugiego dna, gdyż niewiele w tej opowieści było dziełem przypadku. Na potrzeby prac nad „Carnivàle” jego twórca, Daniel Knauf opracował

Niezwykle rzadko pojawia się serial stanowiący dla widza takie wyzwanie intelektualne, jak „Carnivàle”.

obszerny dokument opisujący szczegółowo tzw. mitologię serialu – coś, co znamy m.in. z „Miasteczka Twin Peaks” czy „Zagubionych” (choć w ich przypadku raczej nie była ona

z góry przemyślana; wszystko wskazuje, że poszczególne elementy doszywano w trakcie kolejnych sezonów).

Ale to nie jedyny powód, dla którego tak uwielbiam ten serial. Jak zwykle w przypadku HBO, równie ambitnie twórcy podeszli nie tylko do treści, ale i do formy. „Carnivàle” było wówczas najdroższą produkcją tej sieci kablowej. Znajdziemy tutaj tę samą perfekcyjną dbałość o scenografię i kostiumy, z której znane są ich produkcje. Język, którym mówią bohaterowie – często z kłopotliwym do zrozumienia akcentem ze środkowych stanów – jest naszpikowany zwrotami pasującymi do czasu i miejsca akcji. Na oficjalnej stronie internetowej można było znaleźć słowniczek, bo nawet Amerykanie miewali trudności ze zrozumieniem niektórych sformułowań, na czele z kultowym powiedzonkiem Samsona: *Let's shake some dust!* Jak głosi fama, dopilnowano nawet tego, żeby aktorki, które pojawiały się w serialu nago, miały naturalne piersi, gdyż w latach 30. kobiety nie powiększały sobie sztucznie biustów.

Kolejna rzecz to czołówka. Co tu dużo mówić – nawet pomysłów gra skojarzeniami z „Dexterem” i ruchoma mapa Westeros z „Gry o Tron” nie umywiają się do tego, co wymyślono na potrzeby „Carnivàle”. Półtorej minuty, które sprawiło, że uwierzyłem, że możliwe byłoby zekranizowanie „Kronik Amberu” Rogera Zelaznego.

No i oczywiście bohaterowie – zdumiewający, wzruszający, wspaniali pod każdym względem. Ben próbujący się uporać z brzemieniem swego dziedzictwa. Charyzmatyczny kaznodzieja, brat Justin i jego przebiegła siostra Iris. Wróżbitka Sophie i jej katatoniczna matka-telepatka. Karzeł Samson usiłujący trzymać cyrkową ekipę w ryzach. Ślepy jasnowidz Loda toczący własną rozgrywkę o moc i pomagająca mu w intrygach brodata Lila. Oni i wiele innych postaci wciągają nas w swój świat i zapraszają słowami brata Justina: *pokaż ci rzeczy piękne i straszne*.

„Carnivàle” zaplanowano na sześć sezonów, a dokładnie: trzy dwusezonowe „księgi”. Niestety, oglądalność nie była zadowalająca, a opowieści o magicznym wesołym miasteczku urosł na własnym podwórku konkurent w postaci westerowego „Deadwood”. Gdy trzeba było decydować, w co pompować fundusze, nowsza produkcja wygrała. Przez pewien czas krążyły pogłoski, że HBO nakręci miniserial lub film zamykający najważniejsze wątki „Carnivàle”, lecz ostatecznie nic z tego nie wyszło. Pozostał niedosyt i żal, ale niezależnie od tego, że dzieło Daniela Knaufa zostało tak wcześnie przerwane, jest jednym z najważniejszych osiągnięć telewizyjnej fantastyki.



YODA–WYGNIODA

Zapewne niejedyn z wielbicieli „Gwiezdnych wojen” myślał, że dobrze byłoby znać mistrza Yodę. Wspaniałego starca o wielkiej Mocy, potrafiącego doradzić w każdej sytuacji. Nie mam tu nawet na myśli tzw. „wyznawców Jedi”, choć ta „religia” na trwałe wpisała się już w zwirowany pejzaż kultów i wyznań XX wieku. Zwykli fani też chcieliby poznać Yodę. Z tego pragnienia i sympatii do zabawnie składającego zdania mędrca narodził się pomysł robienia papierowego Yody. Mnóstwo takich przepisów na figurkę origami jest w necie. Ale Yoda szóstkłasiasty Dwighta z gimnazjum McQuarriego jest inny. On naprawdę potrafi doradzić.

Dziwne? Tak, tym bardziej, że Dwight nie jest jakąś klasową znakomością.

Dziwny przypadek papierowego Yody.

Tom Angleberger



Tłumaczenie

Małgorzata Hesko-Kołodzińska
i Piotr Budkiewicz



Zabawne i pouczające przypadki papierowego Yody ucieszą każdego, kto właśnie kończy szkołę podstawową.

W każdym razie tak twierdzi Tommy, któremu historia papierowego Yody nie dawała spokoju, więc postanowił prowadzić dokumentację zdarzeń z jego udziałem. Ale choć Dwight to, wedle Tommy'ego, „beznadziejny frajer” – Yoda, którego Dwight trzyma na palcu, jest „niesamowicie mądry”. Skąd ta mądrość? Jak to się dzieje, że kiedy Dwight zaczyna przemawiać w imieniu trzymanego na palcu mistrza, z jego ust padają kwestie istotne? Tym niech się zajmą inni mędrcy. Dla chłopców i dziewczyn z prozy Anglebergera najistotniejsze jest, że mądrości papierowego Yody okazują się pomocne w sytuacjach typowych dla życia szóstkłasiastów. Yoda może uratować honor chłopaka na szkolnej megaimprezie. Mistrz może też pomóc w przypadku „żenującej plamy”, gry w softball albo podjęciu decyzji o nauczaniu się twista. I w wielu innych przypadkach. O tym jest „Dziwny przypadek...”.

Książka Anglebergera przeznaczona jest dla 8-12 latków. Uczy, bawi i oferuje przepis na zrobienie sobie własnego papierowego Yody.

Recenzował
Jakub Winiarski

Media Rodzina 2012
Cena 25,00 zł

WIARA CZYNI CUDA

„Tron Półksiężycy”, pierwsza księga cyklu „Królestwa Półksiężycy” Saladina Ahmeda opowiada dzieje Adulli Machsluda, ostatniego łowcy ghuli w stolicy Abassenu, Dhamsawaacie, oraz jego asystenta, nastoletniego derwisza Rasida. Obaj skutecznie walczą ze sługami Zdradzieckiego Anioła dzięki darom Boga i obaj są pobożni, chociaż każdy na swój sposób. Adulla nie jest typowym bohaterem fantasy. Ba, nie jest nawet typowym podstarzałym bohaterem – myśląc o takich mamy przed oczami raczej kogoś w rodzaju obsady „Niezniszczalnych”, niż tęgiego niechluj z krogulczym nosem. W jego wierze jest miejsce na niuanse wynikające z doświadczenia, a powołanie, przez które nie mógł się ożenić, staje się dla łowcy coraz większym brzemieniem. Z kolei Rasid to zdyscyplinowany wychowanek Zakonu, trzymający

Tron Półksiężycy

Saladin Ahmed



Tłumaczenie

Przemysław Bieliński



Barwna opowieść o sługach Bożych, walczących z siłami nieczystymi w arabskiej scenerii.

się litery Niebiańskich Rozdziałów, lecz nie znający prawdziwego życia. Gdy spotkają na swej drodze zmiennokształtną Zamię, ostatnią z wymordowanego plemienia, wraz z przyjaciółmi będą musieli stawić czoło zagrożeniu, jakiego ludzkość nie doświadczyła od wieków.

Główni bohaterowie „Tronu Półksiężycy” to ludzie wiary. W powieści znajdziemy różne jej oblicza, w tym również te niegodne. Autor zdaje się pokazywać, że prawdziwa wiara daje człowiekowi siłę do przeciwstawienia się wszelkim przeciwnościom losu, ale ma świadomość, że wszędzie trafiają się ludzie zaślepieni, nikczemni bądź instrumentalnie wykorzystujący imię Boże do własnych celów (podobne wątki znajdziemy m.in. w „Ostatniej bitwie” C.S. Lewisa). W dobie, gdy niemal na każdym kroku obserwuje się starcia fundamentalistów – zarówno tych religijnych, jak ateistycznych – Ahmed przypomina, że można wierzyć nie popadając w skrajności, a najważniejszym kompasem życiowym jest Boży dar sumienia.

Recenzował
Jerzy Rzymowski

Prószynski Media 2012
Cena 19,90 zł

KRAJOBRAZY Z OTCHŁANI

Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści

H.P. Lovecraft



Tłumaczenie

Maciej Płaza

Klasyka horroru – piętnaście spojrzeń w otchłan pełną Wielkich Przedwiecznych.



Howarda Phillipsa Lovecrafta nie trzeba chyba nikomu przedstawiać. Samotnik z Providence jest ikoną grozy i postacią niezwykle ważną dla popkultury: inspirował licznych pisarzy, filmowców, grafików, twórców komiksów i gier oraz muzyków (z Metaliką na czele).

„Zgroza w Dunwich...” to liczący prawie osiemset stron wybór piętnastu sztandarowych tekstów Lovecrafta dokonany przez Macieja Płazę i opatrzonej przez niego obszernym postowiem, w którym redaktor i tłumacz w jednej

osobie przybliży biografię pisarza oraz analizuje motywy powtarzające się w jego twórczości. Znajdziemy tu najśłynniejsze utwory HPL-a, w tym m.in. opowiadania „Zew Cthulhu”, „Dagon”, „Szepczący w ciemności”, „Szczury w ścianach”, „Muzyka Ericha Zanna” oraz mikropowieści „Przypadek Charlesa Dextera Warda” i „W górach szaleństwa”. Całość została opatrzona nastrojowymi ilustracjami Johna Coultharta.

Dwa lata temu, w „Czasie Fantastyki” Mateusz Kopacz w tekście „Odrażający, bluźnierczy Necronomicon” zwracał uwagę na to, że przekłady Lovecrafta stały do tej pory w Polsce na bardzo niskim poziomie. Nie tylko jemu ten stan rzeczy był solą w oku, gdyż jedną z rzeczy, na które uwagę czytelnika wydawca zwraca już od okładki, jest *nowy, wierny przekład, w pełni oddający elegancję i bogactwo stylu Lovecrafta*. Zmiany widać nawet w tytułach tekstów („Kolor z przestworzy” stał się „Kolorem z innego wszechświata”, a „Koszmar...” bądź „Horror w Dunwich” został przemianowany na „Zgrozę w Dunwich”).

Z dotychczasowych polskich wydań HPL-a, to stoi na najwyższym poziomie. Mijmy nadzieję, że doczeka się drugiego tomu, w którym znajdą się nie mniej ważne utwory, jak „W poszukiwaniu nieznanego Kadath”, „Model Pickmana”, „Coś na progu” czy „Reanimator”.

Recenzował
Jerzy Rzymowski

Vesper 2012
Cena 59,90 zł

NASZ CZŁOWIEK NA NAJWIĘKSZYM KONWENCIE ŚWIATA!

NOWA Fantastyka

12 (363) 2012 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



W SPRZEDAŻY
OD 20 LISTOPADA

PUBLICYSTYKA:

JIM HENSON – BAJARZ-EKSPERYMENTATOR

NIK PIERUMOW I JEGO ŚRÓDZIEMIE

PAN LODOWEGO OGRODU – WIELKI FINAŁ

OPOWIADANIA:

KEN SCHOLES

KAREN JOY FOWLER

JANUSZ CYRAN

ISSN 0867-132X



12

INDEKS 358398

9

770867 132206

PRÓSZYŃSKI
MEDIA

© Donato Giancola
www.donatoarts.com



Ilustracje: Christopher Denise

Z FANTAZJĄ WŚRÓD ZWIERZĄT

ANDRZEJ KACZMARCZYK

Jedną z najciekawszych rzeczy w fantastyce jest obserwowanie jak na przestrzeni lat zmieniają się niektóre fikcyjne światy. Śródziemie w „Hobbitcie” nie jest jeszcze do końca tym z „Władcy pierścieni”, Świat Dysku z „Koloru Magii” niemal nie przypomina tego z „Niucha”, a przebogaty wszechświat „Doktora Who” zaczął się na londyńskim wysypisku. Natomiast „Redwall” w ciągu dwudziestu pięciu lat rozrosło się z pojedynczej książki dla dzieci do niezwykle bogatego uniwersum fantasy.

MYSZY I LUDZIE

Wszystko zaczęło się od wydanej w 1986 roku „Bitwy o Redwall”. Autor, Brian Jacques, nie zamierzał jej nawet publikować. Napisał ją dla dzieci ze szkoły Royal Wavertree dla Niewidomych w Liverpoolu, z którymi zaprzyjaźnił się pracując jako kierownik ciężarówki dostarczającej mleko. Szeroka publiczność wydanie dzieła Jacquesa zawdzięcza jego dawnemu nauczycielowi, Alanowi Durbandowi, który bez wiedzy autora pokazał książkę wydawcy. Brian nie miał jednak powodów by gniewać się na przyjaciela, gdyż zaowocowało to podpisaniem umowy na pięć pierwszych książek z serii.

„Bitwa o Redwall”, chociaż jest niewątpliwie świetną lekturą dla dzieci, różni się mocno od kolejnych powieści Jacquesa. Fabuła była prosta: opactwo Redwall, stanowiące w czasach zagrożenia schronienie dla mieszkańców lasu Mossflower i okolic, zostaje oblężone przez hordę grabieżców pod wodzą Cluny’ego, zwanego Biczem. Gdy obrońcy Redwall odpierają wraże siły, młody adept Matthias podąża szlakiem starodawnych wskazówek, szukając ryszunku legendarne wojownika, by przejąć schedę po nim i ocalić opactwo. Na czym polegał haczyk? Zamiast wykorzystać klasyczną galerię istot światów fantasy – elfy, krasnoludy czy orki – Jacques uczynił bohaterami zwierzęta. Mnisi z Redwall to myszy, inni obrońcy to krety, jeże i im podobne sympatyczne stworzenia, podczas gdy najeźdźcy to armia szczurów, łasic i innych czarnych charakterów królestwa zwierząt.

W „Bitwie o Redwall” pojawiają się wzmianki świadczące o tym, że wszystko to dzieje się w naszym świecie, choć w bliżej nieokreślonym miejscu i czasie. Cluny prawdopodobnie pochodzi z Portugalii, pojawiają się też wzmianki o udomowionych zwierzętach. Po sukcesie debiutanckiej powieści, przystępując do pracy nad kontynuacjami, Jacques diametralnie zmienił podejście

i zaczął żmudny proces kreowania świata w oparciu o pomysły z pierwszej książki.

NOWY, WSPANIAŁY ŚWIAT

Akcję kolejnej powieści Jacques osadził na wiele pokoleń przed wydarzeniami opisanymi w „Bitwie...”, skupiając się na Martinie Wojowniku, tym samym, którego miecza poszukiwał Matthias. To podejście stało się charakterystyczne dla cyklu jako całości: kolejne tomy nie opisują wydarzeń w chronologicznej kolejności, lecz przedstawiają świat Redwall w wybranych, ważnych momentach na przestrzeni wieków. Bohaterów, których poznaliśmy jako historycznych, czy wręcz mitycznych w jednej książce, w kolejnej widzimy jako żywe postacie z krwi i kości, lub odwrotnie – o osobie, którą czytelnicy poznali na początku jej drogi, kilka tomów dalej mówi się jako o owianej legendą.

Ten zabieg okazał się jednym z fundamentów sukcesu „Redwall”. Chociaż sam świat powieści Jacquesa nie przechodzi rewolucyjnych zmian, cały czas żyje. Przychodzą i odchodzą kolejne pokolenia, pozostawiając po sobie pamięć i opowieści, a czasem nowe miejsca, instytucje i kodeksy przestrzegane wieki później. Czytelnicy śledzą drogę, jaką przechodzą



**„REDWALL” W CIĄGU
ĆWIERĆWIECZA
ROZROSŁO SIĘ
Z POJEDYNCZEJ
KSIĄŻKI DLA DZIECI
DO NIEZWYKLE
BOGATEGO UNIWERSUM
FANTASY.**

legendy i dziedzictwo dawnych bohaterów, lub jego genezę z takim samym, a może nawet większym zainteresowaniem niż fabułę poszczególnych książek.

Jacques wzbogacił swój świat nie tylko mitami, ale też kulturą. Zadbaj, by pojawiającym się w jego książkach gatunkom zwierząt nadać tożsamość i charakter, uczynić z nich pełnoprawne „rasy” uniwersum fantasy, a nie tylko antropomorficzne zwierzątka ku uciechu dzieci. Krety mówią własną gwara, zajęte to wojownicy o manierach stereotypowych Brytyjczyków i duszach poetów, dla których największym honorem jest służba w Długim Patrolu. Borsuki, najsilniejsi i najgroźniejsi z mieszkańców tego świata wiodą samotniczy tryb życia; ich naturalna dzikość przełożyła się na tradycję, zgodnie z którą pod jednym dachem nie mogą mieszkać dwa dorosłe borsuki, więc zanim ich synowie dorosną, młodzi ojcowie opuszczają domy i udają się na wędrówkę w nieznane. Najpotężniejsi z nich to władcy Salamandastronu, legendarnej góry-twierdzy skrywającej kuźnie godne Tolkienowskich krasnoludów.

Świat Redwall to również bogactwo zróżnicowanych postaci, zarówno czarnych charakterów, jak i pozytywnych bohaterów. Jacques nie ograniczył się do powielania

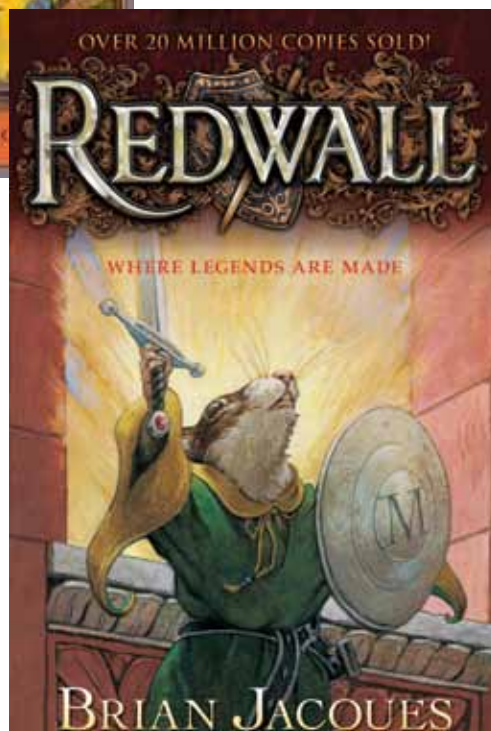
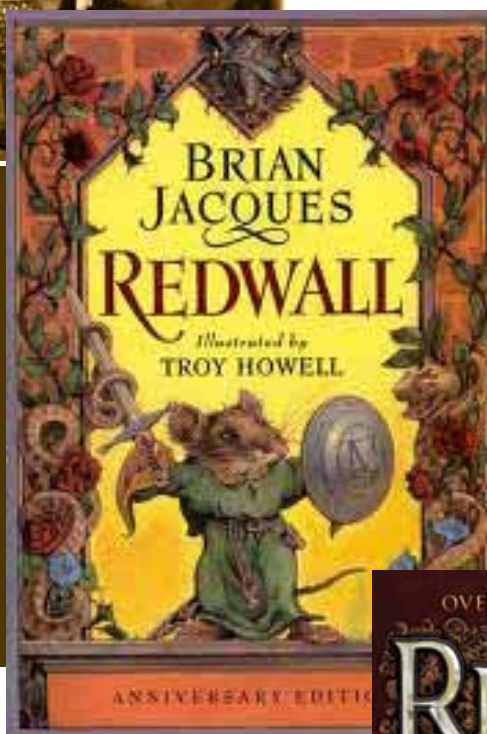
schematu dorastającego herosa odkrywającego swoje przeznaczenie. Równie często jedna z głównych ról przypada doświadczonym wojownikom, a nawet bardzo starym władcom czy emerytowanym żołnierzom, lub przeciwnie – młodym odważnym przedstawicielom obojga płci, których w wielkie wydarzenia wplątuje nieszczęśliwy przypadek czy poczucie obowiązku, a nie rola mitycznego wybrańca. Nota bene, książki Jacquesa to w literaturze przygodowej doskonały przykład równouprawnienia bez wciskania poprawności na siłę.

To wszystko sprawiło, że cykl o Redwall szybko zmienił się w znacznie więcej niż można było się spodziewać po skromnym początku i zdobył licznych fanów również wśród dorosłych. Ostatecznie jednak z iluzją książeczek o zwierzątkach dla najmłodszych zrywa bezkompromisowe podejście Jacquesa do śmierci. Wprawdzie w jego książkach na końcu dobro zawsze zwycięża, ale nie znaczy to, że wszyscy bohaterowie dożyją happy endu. Wręcz przeciwnie, zwykle przychodzi za niego zapłacić wysoką cenę. Na niektórych czeka

bohatera śmierć, na innych przypadkowa; czasem szybka, a czasem wręcz przeciwnie. W „Lordzie Brocktree”, opisyującym obłąkanie, upadek i odzyskanie Salamandastronu, ginie więcej pierwszo- i drugoplanowych postaci po obu stronach konfliktu, niż w pierwszych dwóch tomach „Pieśni Lodu i Ognia”, mimo że „Brocktree” liczy sobie niecałych czterysta stron.

NIEZBĘDNIK, CZYLI ADAPTACJE

Nic nowego w tym, że dzieło, które odniesie sukces, z pewnością zostanie zaadaptowane na potrzeby innych mediów. Żadna z dwudziestu dwóch książek o Redwall nie została na razie przeniesiona na ekrany kin (co, jestem pewien, w końcu nastąpi), ale w latach 1999-2003 powstał serial animowany, brytyjsko-kanadyjsko-francuska koprodukcja. Każdemu z trzech pierwszych tomów „Redwall” poświęcono osobny, trzynastoodcinkowy sezon. W przeciwieństwie do książek, serial, jakkolwiek udany i niewątpliwie wierny pierwowzorom, jest jednoznacznie skierowany do najmłodszych fanów. Unika lub łagodzi to, co mogłoby wydać się kontrowersyjne w animacji



dla dzieci. Czy słusznie? Chociaż zwykle nie lubię podobnego upraszczania z myślą o dzieciach, a Jacques nigdy nie opisuje niczego przesadnie drastycznego, muszę przyznać że serialowe Redwall nie straciło klimatu oryginału, a na najmłodszych widzach niektóre sceny wciąż mogą zrobić wrażenie. To na pewno dobry sposób, żeby przedstawić cykl najmłodszej publiczności



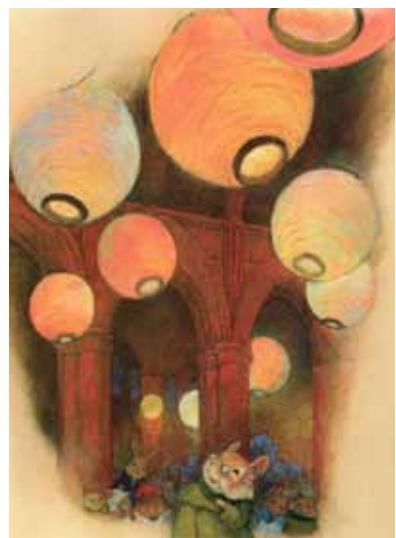
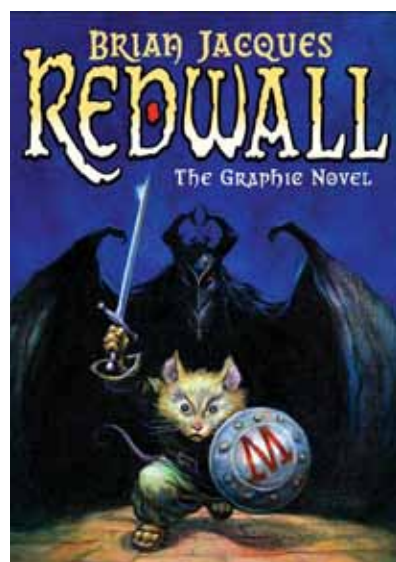
ści. Szkoda tylko, że ci którzy z Redwall dorastali i chcieliby zobaczyć wydarzenia z kart powieści na ekranie w pełnej krasie i bez taryfy ulgowej, na razie nie mają takiej szansy.

Po serialu przyszła pora na komiks. Adaptacja pierwszej książki cyklu, zatytułowana po prostu „Redwall: The Graphic Novel”, ujrzała światło dzienne w 2007 roku nakładem wydawnictwa Philomel, i udowodniła tym, do których to jeszcze nie dotarło, że licencji należy pilnować jak oka w głowie, bo inaczej na podstawie naszej książki powstanie właśnie coś takiego. Wydawałoby się, że taki komiks nie powinien być specjalnym wyzwaniem. Redwall to bardzo dobra książka, ale nie poetyckie arcydzieło, którego niuansy czy styl trudno przenieść nienaruszone z kart powieści. Wystarczy po prostu dobrze ją zilustrować. Niestety, nawet to okazało się za trudne. „Redwall: The Graphic Novel” to 143 strony kiepskich, momentami wręcz nieczytelnych czarno-białych rysunków, przypominających bardziej szkice, których nie zdążono poprawić, o pokolorowaniu nie wspominając, niż „powieść graficzną” z prawdziwego zda-

rzenia. Tym bardziej rozczarowujące, że w innych rękach, na przykład P. Craiga Russella, który do komiksowych kadrów przeniósł „Sennych Łowców” Gaimana, mogła to być naprawdę wspaniała adaptacja i początek długiej serii.

DZIEDZICTWO

Brian Jacques zmarł w lutym 2011 roku na atak serca w wieku siedemdziesięciu jeden lat. Ostatnia, dwudziesta druga powieść o Redwall ukazała się trzy miesiące po jego śmierci. Jego książki, przetłumaczone na dwadzieścia osiem języków, sprzedano w ponad dwadzieścia milionach egzemplarzy na całym świecie (w Polsce przed laty ukazały się zaledwie dwa tomy: „Bitwa o Redwall” i „Mattimeo”). Przez ćwierć wieku stworzony przez niego świat z najbliższych okolic skromnego opactwa stał się rozległą, bogatą i różnorodną krainą, wyjątkową i wyróżniającą się na tle niezwykle licznej galerii fantastycznych uniwersów. Jeśli jeszcze nie mieliście okazji go zwiedzić spróbujcie nadrobić zaległości jak najprędzej. Chyba, że jesteście zbyt dziecinni, żeby sięgnąć po książki dla dzieci. ■



Ilustracje: Christopher Denise

Począwszy od oryginalnego tytułu – „Poltergeist: The Legacy” – serial znany u nas jako „Mroczne dziedzictwo” to ciekawy przypadek.

Dziedzictwo tytułów

JERZY RZYMOWSKI

© Artur Kazorek



Mało kto pamięta, że TVP wyświetlała kiedyś serial „Mroczne dziedzictwo”. Zapewne dlatego, że rzadko która produkcja tego rodzaju może liczyć w publicznej telewizji na ludzkie godziny nadawania, czego przykładem mogą być ostatnio „Żywe trupy”. Na szczęście, zetknąłem się z „Dziedzictwem” wcześniej, gdy na którejś obcojęzycznej stacji nadziałem się przypadkiem na pilotowy odcinek, więc udało mi się nie przeoczyć jego polskiej premiery. I bardzo się z tego cieszę do dzisiaj.

Właściwie nie wiadomo, dlaczego angielski tytuł brzmi „Poltergeist: The Legacy”. Sugeruje to związek z filmową trylogią o rodzinie prześladowanej przez duchy, ale w rzeczywistości jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Z kolei dwuczłonowa konstrukcja „nazwa: dopowiedzenie” wskazywałaby, że historia jest osadzona w Świecie Mroku znanym z serii gier fabularnych wydawnictwa White Wolf (podobnie, jak serial „Kindred: The Embraced”,

zabawniej, pełniło Vancouver, gdzie kręcono większość serialu – „Poltergeist...” jest bowiem serialem kanadyjskim).

Bohaterowie to ciekawa galeria. Derek Rayne – wybitny naukowiec i jasnowidz, którego ojciec uległ ciemnym mocom; Nick Boyle – porywczy były komandos; Alex Moreau – Kreolka potrafiąca odczytywać historię dotykanych przedmiotów, Rachel Corrigan – psychiatryczka z kilkuletnią córeczką Kat. Pojawiają się też inni, ale właśnie ci wymienieni stanowią trzon ekipy z Frisco. Wcześniejsza wzmianka o Van Helsingu wydaje się całkiem na miejscu, ale z zaznaczeniem, że mowa raczej o oryginalnej Brama Stokera niż filmowym Wolverine’ie z kuszą załadowaną kółkami. Chociaż w razie potrzeby oni też sprawdzają się w akcji.

Dziedzictwo to wpływowe, międzynarodowe bractwo, sprawna machina w służbie ludzkości nieświadomej faktu, że wokół niej roi się od mściwych duchów, demonów i rozmaitych piekielnych wystanników.

Serial miał premierę w 1996 roku – tym samym, w którym zadebiutowało „Millennium” Chrisa Cartera. To był dobry czas dla opowieści o nadnaturalnych zagrożeniach czyhających za progiem. Niespełna dekadę później podobną walkę podjęli bracia Winchesterowie,

ale w „Supernatural” wszelkiej maści łowcy potworów są raczej zgrają indywidualistów i tylko czasami łączą siły. Tymczasem Dziedzictwo to wpływowe, międzynarodowe bractwo, sprawna machina w służbie ludzkości nieświadomej faktu, że wokół niej roi się od mściwych duchów, demonów i rozmaitych piekielnych wystanników. Jest skuteczne, bo stoi za nim czternaście stuleci gromadzonego doświadczenia, wpływów i majątku. To coś więcej niż notes papy Winchestera, którym posilkują się Sam i Dean, czy bagażnik wypakowany sprzętem. Co nie zmienia faktu, że mimo całych zasobów organizacji, jej członkom również niejednokrotnie się obrywa – jedni giną, inni zdradzają, wszyscy mają słabe strony, które

złe moce skrupulatnie usiłują wykorzystać przeciwko nim.

Chociaż „Mroczne dziedzictwo” nie było szczególnie odkrywczym, miało swój klimat. Podobają mi się wizja pogromców zła urzędujących w zabytkowej rezydencji, przekazujących sobie mądrości wieków, działających metodycznie jak śledczy i jednocześnie zanurzonych po uszy w atmosferze tajemniczości.

„Dziedzictwu” udało się przetrwać na antenie cztery lata. Jako ciekawostkę warto wspomnieć, że w dwóch odcinkach czwartego sezonu gościnnie wystąpił słynny zapaśnik The Undertaker, który

wcielił się w postać piekielnego poborcy dusz ścigającego brata Nicka. Udział Undertakera miał promować słynną federację wrestlingu WWE.



czyli „Więzy krwi”, który też na pewno doczeka się felietonu) – takie powiązanie także

nie istnieje, chociaż organizacja Dziedzictwo (tytułowe *Legacy*) mogłaby z powodzeniem zostać wykorzystana przez Narratorów na sesjach.

Ale czym właściwie jest owo Dziedzictwo? Otóż jest to tajne stowarzyszenie, którego korzenie sięgają wczesnego średniowiecza, zajmujące się ochroną ludzkości przed wszelkiego rodzaju nadprzyrodzonym złem. Taki Związek Zawodowy Van Helsingów, który gromadzi wiedzę tajemną, przechowuje niebezpieczne magiczne przedmioty i oczywiście w razie potrzeby eksterminuje piekielne stwory. Niektórzy członkowie Dziedzictwa posiadają nawet nadprzyrodzone moce. Domy organizacji rozrzucone są po całym świecie – centrala mieści się w Londynie, a akcja serialu toczy się w siedzibie w San Francisco (którego rolę, żeby było



KAŻDA KSIĄŻKA ZACZYNA SIĘ OD OKNA

WYWIAD Z NIKIEM PIERUMOWEM

JOANNA KUŁAKOWSKA



© Piotr Kosieradzki

Joanna Kułakowska: W jaki sposób złapałeś bakcyła fantastyki – jako czytelnik i pisarz?

Nik Pierumow: Dzięki książce – rosyjskiemu przekładowi „Hobbita” z 1977 roku. Była bogato ilustrowana, tak wtedy wydawano. Okazała się tak inna od tego, co my, radzieccy uczniowie, czytaliśmy. Tak mną wstrząsnęła, że poczułem się wręcz chory. To był całkowicie inny świat i całkowicie wolna wyobraźnia autora. W dzieciństwie spotkałem się z wieloma świetnymi książkami, niestety były bardzo dydaktyczne, a tu było inaczej – autor po prostu opowiadał mi ciekawą historię. Wtedy, jako chłopak, nie mogłem się tam dopatrzeć jakiegoś szczególnego morału, nic nie było podane na talerzu, żadnego odpychającego kazania. Ta książka była raczej jak starszy kolega, a nie nauczyciel. Od „Hobbita” zaczęło się moje zainteresowanie fantastyką, natomiast kiedy sam zacząłem pisać, zacząłem od naśladowania pana Stanisława Lema, który był i nadal jest bardzo popularny w Rosji. Ogromne wrażenie wywarł na mnie „Niezwyciężony” – opowiadałem tę historię kolegom podczas wakacji – i pierwsze opowiadanie zacząłem pisać w duchu pana Stanisława.

J.K.: Znasz też twórczość Andrzeja Sapkowskiego. Czy jeszcze jakieś książki polskich autorów i autorek przykuły twoją uwagę?

N.P.: Kiedy byłem dzieckiem, było u nas dużo polskich książek. Trudno jest mi sobie w tej chwili przypomnieć, ale bardzo mi się podobała opowieść o krasnoludkach i sierotce Marysi (śmiech).

J.K.: Chodziło mi bardziej o fantastykę (śmiech).

N.P.: Krasnoludki to też fantastyka (śmiech), ale wspominałem o tym, żeby pokazać, że wcześniej była jakaś podstawa. Niestety, oprócz pana Stanisława i pana Andrzeja, trudno mi tak z marszu wymienić jakieś nazwisko, szczególnie że niedawno zmarł ostatni tłumacz z polskiego, który zajmował się przekładami fantastyki w Rosji. Ten, który tłumaczył między innymi pana Andrzeja Sapkowskiego.

J.K.: Na spotkaniu mówiłeś, że rosyjskie książki nie sprzedają się w Anglii i w Ameryce. A czy anglojęzyczne książki, mimo różnicy kulturowej, sprzedają się w Rosji? Słyszałam, że jest to rynek zwrócony do wewnątrz, podobnie jak amerykański.

N.P.: Po stronie Anglików i Amerykanów stoi tradycja. Natomiast w Rosji masową

fantastykę zaczęto pisać dopiero jakieś 20 lat temu. I był taki moment, na początku lat 90., kiedy ok. 80% fantastyki to były rzeczy tłumaczone. Ale właśnie ze względu na to, że amerykańska fantastyka kulturowo bardzo odbiega od tego, co znamy i co jest dla nas ważne, z czasem fantastyka rosyjska wypchnęła tłumaczone książki gdzieś na peryferie. Dlatego że rosyjska fantastyka mówiła o naszych problemach, a to, o czym mówiła fantastyka amerykańska, było dość abstrakcyjne. W Rosji moje książki ukazują się w sporych nakładach [przed kryzysem ok. 200 tysięcy egzemplarzy, po nim ok. 130 tys. – przyp. J.K.], ale w USA, gdzie mieszkam, udało mi się wydać zaledwie jedną książkę – „Śmierć bogów”, która wegetuje na Amazonie i ledwo się sprzedaje. Amerykański rynek jest wystarczająco nasycony amerykańskimi książkami. Każda gospodyni domowa pisuje romantyznefantasy, teraz o miłości z wampirem – w księgarniach chyba połowa książek jest o wampirach. Ale gdybym musiał napisać powieść typu „Zmierzch”, to chyba ręce by mi odpadły. W „Zmierzchu” wykorzystano marzenie niedojrzałej dziewczynki: *Żeby tak kochał mnie taki silny, pierwotny i brutalny, a jednocześnie taki romantyczny i delikatny...* To dla mnie niestrawne. Ameryka, oczywiście w sensie mas, a nie intelektualistów, nie potrzebuje obcych książek. Poza tym przekład jest niekorzystny finansowo. Mam poczucie, że gdybym chciał odnieść sukces na amerykańskim rynku, musiałbym zmienić książki nie do poznania. Po pierwsze, główny bohater musi być Amerykaninem. Po drugie, na końcu musi być całkowite zwycięstwo. Po trzecie, nie powinien odczuwać dylematów moralnych, ale uważać, że to, co robi, jest sprawiedliwe i święte. Masy chcą Rambo. Przychodzą do księgarni, żeby się dowiedzieć, że Ameryka była, jest i będzie najsilniejsza. Gdybym przerobił w ten sposób „Czaszkę na rękawie”, pewnie by ją wydali.

J.K.: Zaczęłeś od pisania w bardzo poważnym tonie, a potem twój styl stał się ironiczny. W rosyjskiej fantastyce często dostrzegam perskie oko puszczane do odbiorcy, w czym celował Kir Bułyczow. Zastanawia mnie, czy to jest wasza cecha narodowa, część „słowiańskiej duszy”, czy jednak skutki wydarzeń społecznych i politycznych? Pytam o to, ponieważ w PRL-u ironia i niemówienie wprost, traktowanie fantastyki jako pewnego

parawanu, za którym można zakamuflować poważne rzeczy, często w sposób zgryźliwy i ironiczny, było mentalną obroną przed rzeczywistością, no i oczywiście sposobem ominięcia cenzury.

N.P.: Teraz, jeśli chodzi o książki, Rosja jest krajem wyjątkowo wolnym, ponieważ nie mamy już komunistycznej cenzury, a z drugiej strony nie mamy jeszcze poprawności politycznej. W literaturze rosyjskiej ironia i autoironia, kultura śmiechu jako taka, jest bardzo ważna. Weźmy np. Siergieja Łukjanienkę i jego znany cykl o patrolach. Nie odniósłby takiego sukcesu, gdyby było to w 100% na serio. Pisarz, który nie umie śmiać się z samego siebie, nie jest zbyt szanowany. Pisałem bardzo poważnie kontynuację Tolkiena – „Pierścień Mroku” – a teraz śmieję się z tej powagi. Napisałem to w 1985 i byłem przekonany, że oto objawiam światu „prawdę jedyną i słuszną”. Praca trwała osiem lat, nie dlatego, że zlifowałem tekst, ale dlatego, że starałem się tam zawrzeć jak najwięcej rzeczy wtedy dla mnie ważnych, sądząc, że i dla czytelnika takie będą. Stało się dla mnie jasne, że w ten sposób nie wolno pisać, dlatego wybrałem postmodernistyczną ścieżkę. Postmodernizm pozwala nam stworzyć lustro o wielu powierzchniach, mówić nowym językiem o starych sprawach.

J.K.: Jesteś wielkim fanem profesora Tolkiena i działałeś w ruchu fanowskim. Czy nadal masz na to czas?

N.P.: To już miniony etap. Utwory Tolkiena zapoczątkowały w Rosji ruch LARP-ów. Ten ruch zajął się nowymi obiektami. Wydzieliła się cała grupa rekonstruuja historyczne wydarzenia. Oczywiście nadal jestem wielkim miłośnikiem Tolkiena, wciąż i wciąż czytam jego książki i uczestniczę w różnego rodzaju dyskusjach, choć głównie przez Internet. Wciąż jestem w tym światku, choć wielu miłośników Tolkiena uważa, że nie mam prawa w nim być...

J.K.: Czy to ma związek z trylogią „Pierścień Mroku”?

N.P.: Tak, uważają, że nie miałem prawa tego napisać, że zrobiłem zamach na profesora Tolkiena. Twierdzą, że skoro już zdecydowałem się pisać historię w tym świecie, to powinienem robić to identycznie jak on – stworzyć wyrazisty, jednoznaczny czarny charakter i dobrą stronę, po której w sposób oczywisty stoi słuszność.

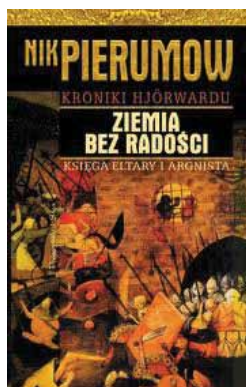
J.K.: A jeśli jesteście przy zamachu na profesora Tolkiena... Co sądzisz o prozie Kiriła Jeskowa? „Ostatni Władca Pierścienia”, ewentualnie „Ostatni Powiernik Pierścienia”, bo u nas funkcjonują oba tytuły.

N.P.: Jeskow postawił przed sobą zupełnie inne zadanie. Jako postmodernista, postanowił połączyć rzeczy do siebie nieprzystawalne.

J.K.: Napisał de facto groteskę. I u nas w środowisku tolkienowskim byli na niego wściekli.

N.P.: U nas też były takie głosy. Osobiście uważam, że nie powinno być żadnych ograniczeń. Jeśli chodzi o moje książki, kto chce, może pisać kontynuację. Jeśli chodzi o Kiriła Jeskowa, to widzę w jego tekście wiele pozytywów, pod warunkiem że postrzega się to jako groteskę. Tym niemniej, w moim odczuciu odszedł za daleko. Moje książki emocjonalnie pozostają w duchu profesora Tolkiena, mimo sprzeczności z tym, co on stworzył. Natomiast Kirił wyszedł poza ducha Tolkiena.

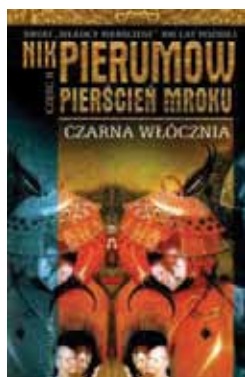
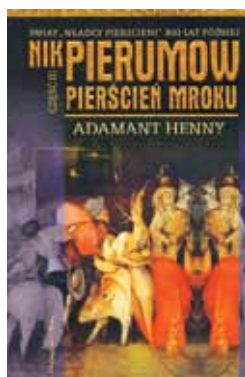
J.K.: Książki Tolkiena są jak gdyby nowym eposem, czerpiącym z wielu legend i mitologii, np. judeochrześcijańskiej i skandynawskiej. Czy twoja trylogia „Pierścień Mroku”, której akcja dzieje się trzysta lat po wydarzeniach z Tolkienowskiej trylogii, była dla niej hołdem? Czy raczej polemiką, choć w duchu jej autora? Pojawia się tam „pótmrok”, niejednoznaczność postępowania, ta „trzecia siła”.



N.P.: Oczywiście, każdy tekst jest tak naprawdę odrzuceniem poprzedniego. Moja trylogia to głos w dyskusji. Uważam, że można dyskutować nawet z największymi arcydziełami literatury – to właśnie z nimi należy dyskutować, bo jaki sens potykać się ze słabym przeciwnikiem? Trzeba stawiać sobie wysoko poprzeczkę. I dlatego właśnie dyskutowałem z Tolkienem, wychodząc z punktu widzenia życia codziennego. Rzecz tolkienowska jest bardzo chrześcijańska, katolicka. Przekaz jest taki, że ty służysz światu, niesiesz swój krzyż i dostaniesz za to nagrodę – przylecą po ciebie orły. A historia Rosji pokazuje, że nie. Bronisz ostatniego szanca, a orły nie przylatują. Skąd w takim razie bohater ma czerpać siły? W codziennym życiu i w podejmowaniu dramatycznych decyzji nie ma miejsca na czern i biel. Białe i czarne charaktery Tolkien doprowadził do perfekcji, ale ja sądzę, że jesteśmy różni, jest w nas dobro i zło, a dobro silnie przejawia się w nietypowych okolicznościach. Możemy podejmować złe decyzje, ale to niekoniecznie czyni z nas zdeklarowane sługi zła. Najważniejszym pojęciem w rosyjskiej prawosławnej kulturze jest żal za grzechy, za dokonane zło. Moi bohaterowie popełniają błędy, znajdują się po stronie siły, która przegrywa, i być może

„mniejszego zła”, tłumacząc samej sobie, że to inni są winni, a nie ona. Dwoje bohaterów długo podąża różnymi drogami, w końcu spotyka się w mieście. No, a czytelnicy już muszą ocenić, czy udało mi się pokazać, jak się wzajemnie dopełniają.

J.K.: Twoi bohaterowie mają trudne dylematy i przeżycia. Symptomatyczny jest też globalny konflikt – zarówno w twoim SF np. w „Czaszce na rękawie” i „Czaszce na niebie”, jak i w fantasy. Czy starasz się zwrócić szczególną uwagę na przemyślenia? A może jesteś przede wszystkim opowiadaczem historii, która ma się wartko toczyć



byłoby mądrzej, gdyby przeszli na drugą stronę. Tym bardziej, że przywódca ciemnych sił nie jest mrocznym władcą z samej swej natury. Starłem się pokazać bohaterów, których nie można ocenić jednoznacznie, na których postępowanie można patrzeć z różnych punktów widzenia.

J.K.: Rozumiem, że swego rodzaju „wyznawców” Tolkiena mogły denerwować twoje zmiany natury kosmologicznej.

N.P.: To była odrobina polemiki. Wszechświat nie jest dualny. Jako fizyk, wiem, że trzecia siła sprawia, że system jest stabilny. Jeśli mamy tylko dwie siły, to nie ma równowagi. Jeśli popatrzymy na wszechświat, widzimy trzy siły: entropia (mrok), synteza (światło) i informacja, która znajduje się i w jednym, i w drugim. I dlatego pojawił się duch poznania – złoty smok. Oczywiście on nie może istnieć w oryginalnym wszechświecie Tolkiena i wcale nie staram się powiedzieć, że to integralna część tego uniwersum. W moim rozumieniu pojawił się jako narzędzie samopoznania materii. Myślę, że tak można by określić ludzki rozum. Filozoficznie rzecz biorąc, materia powołała do życia istoty inteligentne, by zrozumieć samą siebie, dlatego nie postawiłem sobie pytania, skąd wziął się złoty smok. Początkowo był bezcielesny, ale z czasem przyjął formę, wzorując się na ludzkich baśniach. Zrezygnowałem z szachowego podziału. Weźmy Saurona – idealnie stworzony mroczny władca, ale po co mu wszechwładza? Przecież w jego stanie nic mu nie przyjdzie z dóbr materialnych. Jeśli jego jedyną radością jest obserwacja niszczących wszystko orków, to nie jest to warte tak potężnej siły.

J.K.: Teraz w Polsce pojawił się inny twój cykl – „Siedem Zwierząt Rajlegu”.

N.P.: Przez wiele lat pisałem książki o walkach bogów, ale w końcu postanowiłem skoncentrować się na ludziach, a bogom, którzy tasują karty, pozwolić odpocząć. I dlatego pojawił się ten cykl. Głównym tematem jest to, że nie można tak po prostu umyć rąk i nie dokonywać wyboru. Niebezpieczny jest pogląd, że jeśli stoi przede mną większe zło i mniejsze zło, to nie powinienem wybierać ani jednego, ani drugiego. Trzeba podjąć decyzję, bo inaczej ktoś ją może podjąć za nas i skutki będą znacznie gorsze. Bywają sytuacje, w których trzeba poświęcić honor. Rosyjskie przysłowie mówi: *nawet śmierć może być rzeczą świętą*. Umierać jest zbyt łatwo. Mówi się, że zginąć w boju jest czymś szlachetnym i honorowym. A jak sobie radzić z życiem? Jeśli trzeba zrezygnować ze wszystkiego, nawet z honoru, kiedy przeklną cię nawet najbliżsi, ale ty wiesz, że musiałeś zrobić coś złego właśnie dla ich dobra. I dlatego właśnie powstał tom I, w którym bohater musi się czasami opowiadać po stronie tego czy owego zła, bo jeśli tego nie zrobi, nie będzie ani zła, ani w ogóle niczego. Każdy bohater potrzebuje antybohatera. Taką rolę pełni bohaterka drugiej części, dziewczyna, która przechodzi drogę od niewinnej ofiary do kogoś, kto idzie drogą

i przykuwać uwagę barwnością?

N.P.: W literaturze nie można tego oddzielić. Z jednej strony nie można opisywać historii bez przekazywania jakiejś prawdy, a z drugiej nie można przekazywać prawd bez ciekawej historii, bo to będzie niestrawne.

J.K.: Chodzi mi o akcenty. Niektórzy twórcy uważają się przede wszystkim za rzemieślników słowa, których sztuka ma zafascynować ludzi, a przy okazji dzielić się swoimi przemyśleniami. Inni z kolei traktują sprawę odwrotnie – chcą podzielić się przemyśleniami, ubierając je w piękny sposób.

N.P.: Wydaje mi się, że ja tkwię gdzieś pośrodku. Najważniejsze jest dla mnie snucie historii, ale jednak zawsze muszę ją opowiedzieć w taki sposób, żeby zawierała jakiś morał. Bracia Strugaccy mawiali, że *chowają gorzkie lekarstwo prawdy w słodki cukierek treści*. Nie do końca się z tym podejściem zgadzam. Nie uważam, że pisarz jest dyplomowanym doktorem, który powinien aplikować lekarstwa. On może przekazać swoją własną prawdę, a czytelnik musi wyciągnąć wniosek.

J.K.: A propos doktora – jesteś nie tylko pisarzem, ale i naukowcem. A jako pisarz tworzysz i SF, i fantasy. W związku z tym, które światy stanowią dla ciebie większe wyzwanie? **N.P.:** Oczywiście, mimo wykształcenia, najłatwiej mi tworzyć świat fantasy, dlatego że mi i bajka to nasz pierwszy język, który powstał u zarania ludzkości. Nasi przodkowie po to wymyślili mit, żeby przekazywać prawdy i moralne wartości. Kiedy tworzę świat fan-

tasy, opieram się na pokoleniach twórców bajek, którzy tworzyli archetypy, a ja tych archetypów nie muszę rozszyfrowywać. A gdy stworzysz fantastykę naukową, to nikt ci nie pomoże i musisz wymyślić wszystko sam od początku do końca.

J.K.: A w jaki sposób zabierasz się do pracy? Czy najpierw tworzysz konspekt, czy to wielka improwizacja?

N.P.: Każda książka zaczyna się od okna. Podchodzisz do okna, otwierasz je i widzisz jakiś pejzaż. To może być stare miasto albo pole bitwy. Nie wiesz jeszcze, kto walczy w tej bitwie, kto mieszka w tym mieście, ale wszystko zaczyna się od tego pejzażu i dopiero potem pojawia się historia z nim związana. Dlatego raczej można mnie określić mianem improwizatora niż twórcą szczegółowych planów.

J.K.: Praca w instytucie naukowo-badawczym nie ułatwia chyba życia pisarzowi fantastycznych cykli?

N.P.: Mam mało czasu i musiałem nauczyć się go dobrze wykorzystywać, np. zrezygnować z telewizji. Pracuję i jako pisarz, i jako naukowiec, a mam też żonę i trzech synów, którym trzeba przecież poświęcać czas, do tego prowadzę warsztaty literackie dla młodych rosyjskich pisarzy – tworzymy wspólny wielotomowy projekt na bazie wymyślonego przeze mnie świata. Ale praca naukowa bardzo wzbogaca, bo nauka

J.K.: A zatem bezpieczniej będzie, jeśli wrócimy teraz do Tolkiena. Jako jego fan, jak podszedłeś do kwestii filmowej ekranizacji? Podobają ci się?

N.P.: Film naturalnie widziałem i to, co mnie dziwiło, to dbałość o szczegóły, a zarazem dowolność w treści. Na przykład druga część, „Dwie wieże”, gdzie podczas bitwy nagle pojawia się oddział elfów, czego nie było w książce. Ich pojawienie się na ekranie w znacząco umniejsza heroizm obrońców, bo przecież oni nie mieli żadnej pomocy, w dodatku twierdzą nie bronili wyszkoleni żołnierze.

J.K.: Podejrzewam, że twórcom scenariusza chodziło o filmowy język i związany z nim patos, grę na emocjach. Część widzów nie czytała książki i nie rozumiała, dlaczego skoro jest sojusz ludzi i elfów, nikt się nie pojawił, więc rzucono dla świętego spokoju dwa oddziały, sugerując, że elfy mają po prostu swoje własne, strasznie poważne problemy (co było przecież zawarte na kartach powieści), ale są, nie znikli. Tak samo Arwen została pokazana językiem filmu. Z dywagacji w powieści możemy dowiedzieć się, że to odważna dziewczyna, dzielna i interesująca postać, ale w filmie ciężko pokazać to inaczej niż za pomocą heroicznych scen, więc dano jej miecz i kazano ratować Froda.

N.P.: Te sceny są bardzo dobre, poruszające i piękne wizualnie, ale Tolkien tak tego nie widział. Urok elfów polegał między innymi na tym, że byli okryci mgiełą tajemnicy. Tolkien nie pokazuje ich w walce. To, co autorzy wykorzystali, żeby przemówić do widza, mnie jako fana Tolkiena denerwowało.

J.K.: A mimo wszystko czekasz na ekranizację „Hobbita”?

N.P.: Tak, czekam, bo chciałbym jeszcze raz zobaczyć ten świat. Dlatego „Władcę pierścieni” wciąż oglądam, abstrahując od treści i zachwycając się światem, który został w takich szczegółach przeniesiony na ekran. Wiem, że w „Hobbicie” będzie mnóstwo odstępstw od fabuły, nowi bohaterowie, nawet jakaś wojowniczką – był wywiad z tą aktorką. Natomiast to, na co ja czekam, to możliwość obejrzenia pejzaży i kostiumów.

J.K.: W „Kronikach Hjörwarda” („Śmierć bogów”, „Wojownik Wielkiej Ciemności”, „Ziemia bez radości”) twego autorstwa pojawiają się mieszkańcy Śródziemia, którzy trafili do twojego świata...



w Ameryce jest nauką międzynarodową. Mam kolegów z różnych stron świata, każdy przywozi coś własnego, swą kulturę, nową jakość, opowieści, które bardzo mi się jako pisarzowi przydają.

J.K.: Przeczytałam, że jesteś biofizykiem, biologiem molekularnym, pracowałeś w tajnym Leningradzkim Instytucie Naukowo-Badawczym Preparatów Biologicznych Wysokiej Czystości. Czy możesz cokolwiek o tym opowiedzieć, czy też potem musiałbyś mnie zabić? (śmiech)

N.P.: Chyba tak (śmiech). Pracowaliśmy nad tworzeniem antybiotyków jako obroną przed bronią biologiczną. Instytut rzeczywiście podlegał organizacji wojskowej, ze wszelkimi tego konsekwencjami, więc nic więcej nie powiem.

N.P.: W ten sposób działa postmodernizm. Połączenie moich bohaterów z bohaterami Śródziemia ma służyć pokazaniu pewnej głębi.

J.K.: Otrzymałeś za Kroniki nagrodę Strannik. Zdaniem redakcji – utwór ten wywarł największy wpływ na rozwój rosyjskiej fantastyki.

N.P.: Tak naprawdę chodzi o to, że zrobiłem to jako pierwszy. Nikt inny wówczas nie pisał epickiej fantastyki w Rosji. Zająłem puste miejsce i wszyscy pisarze, którzy zajęli się tą tematyką po mnie, musieli albo się ze mną zgodzić i mnie naśladować, albo wejść ze mną w polemikę. Chyba stąd ten wpływ na rosyjską fantastykę.

J.K.: „Brylantowy miecz, drewniany miecz” przemknął w Polsce niemal niezauważony. Powiedziałeś na spotkaniu, że odczuwasz tę książkę jako największe dzieło swego życia, jak na razie apogeum swej twórczości. Mógłbyś przybliżyć temat czytelnikom i czytelniczkom NF?

N.P.: Uważam, że w przypadku tej książki – a czytelnicy w Rosji są ze mną zgodni – udało mi się stworzyć rzecz o istocie nienawiści. Te dwa miecze symbolizują, jak

stare nieporozumienia i zapiekłe żale nie pozwalają razem żyć, jak wrogie sobie nacje wręcz kultywują starą nienawiść i widzą w niej sens swego istnienia. Symbolem tej nienawiści są miecze – brylantowy krasnoludów i drewniany elfów. Oczywiście dostają się w niepowołane ręce, w efekcie wybucha wojna. Bohaterka, której dostał się drewniany miecz i która robiła straszne rzeczy w imię dobra swego ludu, musi zapłacić straszną cenę za swoje grzechy. Opowiadam też, jak przyszedł władca, dziedzic tronu imperium, wychowywany na „małego zjadłego wilczka”, wyrzyna się już jako „dojrzały wilk” spod wpływu wychowawców i zaczyna z nimi walczyć. Imperator stara się uwolnić lud od ciężaru życia pod władzą magów, a w wyniku tego w kraju wybucha wojna. Rodzi się pytanie, czy ten cel, aczkolwiek szlachetny, był wart ofiar, które ponieśli prości ludzie – żołnierze, chłopci, mieszczenie... Książka jest o tym, jak w końcu jednak udało się okiełznać nienawiść. Przedstawiciele szlachetnych rodów, imperator i elfka, właścicielka drewnianego miecza, dochodzą do porozumienia, ale to dopiero początek burzliwej historii. To jest pierwszy tom z dziesięciotomowej sagi, stworzonej przez 15 lat, głównego dzieła mojego życia. Powiedzieli mi, że polski czytelnik nie lubi wielotomowych sag, więc nie mam pojęcia, jaki będzie los tego projektu. W „Brylantowym mieczu, drewnianym mieczu” jest coś ze „Śmierci bogów”. Z punktu widzenia mojej twórczości „Śmierć bogów” jest kamieniem węgielnym. Bogowie nowego wszechświata po wygranej walce muszą opiekować się tym, co stworzyli. Przyjemnie jest być rewolucjonistą i burzyć stary porządek, ale potem przychodzi czas na odbudowę, nudną i żmudną pracę tworzenia i chronienia nowego. I z tym rewolucjoniści zazwyczaj mają kłopot, czego smutnym przykładem jest moja ojczyzna. Po tym, jak ukazała się „Śmierć bogów”, nazwano mnie piewcą rewolucji, kimś, kto propaguje zmianę istniejącego porządku siłą. To niezupełnie tak.

J.K.: Na spotkaniu dużo mówiłeś o stosunkach polsko-rosyjskich. Odniosłam wrażenie, że twoje przemyślenia na ten temat można wytropić w wielu książkach. Słuchając o „Brylantowym mieczu, drewnianym mieczu”, dostrzegam pewną analogię między tymi kwestiami, a tym utworem.

N.P.: Jeśli miałbym jednym słowem określić rosyjską kulturę, powiedziałbym, że jest to kultura sprawiedliwości. Naród rosyjski nigdy złośliwie nie cieszył się ze zniewolenia narodu polskiego. Magowie w „Brylantowym mieczu, drewnianym mieczu” uważali, że czynią bardzo dobrze, postępują w imię dobra ludzkości, chroniąc ją przed potworami. We władzach Rosji niestety były osoby, które uważały, że bardzo dobrze robią Polsce – chronią ją przed atakami zewnętrznymi, przysparzając do rosyjskiego imperium. Ale przecież nie można być dobrym na siłę. Takie „dobro” to zło. Na szczęście Polsce udało się zachować tożsamość i język, byli wspaniali pisarze jak Henryk Sienkiewicz. Dlatego przez cały czas z uporem staram się podkreślać, że siła musi być sprawiedliwa, inaczej nie wolno jej używać. Kiedy traci sprawiedliwość, to choćby i nie chciała nieść zła, staje się tym złem i żale potem mogą ciągnąć się przez wieki. I rzeczywiście to, czego się dowiedziałem, ucząc się historii stosunków polsko-rosyjskich, przenika do moich książek w alegorycznej postaci. Nasz naród jest w tej chwili bardzo chory i dlatego może wydawać się z boku niebezpieczny. Zbyt długo patrzyliśmy tylko na samych siebie, uzalaliśmy się nad sobą i nadszedł czas, żeby z tym skończyć. Bardzo lubię cytować Williama Blake’a: *Jeśli ktoś poradził sobie z głupotą, możemy i my. A jak możemy sobie poradzić z głupotą? Możemy popatrzeć, jak zrobili to inni*. Polakom to się już właściwie udało, nam jeszcze nie. Wiem oczywiście, że Polacy narzekają na swój rząd, ale obecne pokolenia nie zdają sobie sprawy z tego, jak to jest żyć w kraju, z którego nazwy wykreślono nazwę twojego narodu. Oczywiście, kiedyś Polska wchodziła w skład imperium rosyjskiego i nazywano ją Krajem Przywiślańskim, ale udało wam się odtworzyć polskie państwo. Teraz my jesteśmy w podobnej sytuacji. Mam nadzieję, że moje książki i książki moich rosyjskich kolegów po piórze pomogą chociaż troszeczkę uporać się z problemami i pretensjami. Kiedy Polak spotyka się z Rosjaninem w Internecie, to od razu się zaczyna: A wyście w ‘39. uderzyli nas w plecy! A wyście w ‘20. zaatakowali Kijów! A wyście coś tam! I tak do czasów kamienia łupanego. Jak już mówiłem na spotkaniu: chciałbym, żeby Polacy i Rosjanie walczyli ze sobą już wyłącznie na ekranach kin, a ostatnia walka odbyła się w filmie „Bitwa Warszawska”.

J.K.: Twoja ostatnia książka, której współautorką jest Wiera Kamsza – „Mława Krasnaja” – jak rozumiem, stanowi kulminację tych przemyśleń?

N.P.: Dokładnie tak. Bardzo chciałem, żeby ta książka dotarła do myślącego polskiego czytelnika, ale napotykała trudności.

J.K.: Jak sądzisz, dlaczego ciężko znaleźć dla niej wydawcę?

N.P.: To trudne pytanie. Jeśli w państwie polskim robi się film „Bitwa Warszawska”, to strona rosyjska traktuje to jako sygnał, że pokazuje się społeczeństwu „z któ-

rej strony czai się wróg”. Jestem po raz drugi w Polsce i wydaje mi się, że nasze rządy może są wrogie, ale zwykli ludzie nie. Pomimo bagażu złych doświadczeń jesteśmy braćmi krwi, więc nic dziwnego, że wciąż się na siebie obrażamy. Ludzie najbardziej obrażają się na tych, którzy są dla nich ważni. Wiem, że pewnie duża część Polaków teraz poczuje się urażona, ale uważam, że skoro mamy podobne języki, to oznacza, że kiedyś byliśmy razem. Mam też wrażenie, że to dla kogoś bardzo ważne, żeby zmusić Polaków, by obrażali się na Rosjan, i Rosjan, by obrażali się na Polaków. Książka, która występuje przeciwko temu, może być ryzykowna, bo spowoduje niezadowolenie społeczeństwa. Dlatego, że bardzo prosto i przyjemnie mieć wroga, którego można pokazać palcem i oświadczyć: „Oni zawsze są wszystkiemu winni”.

J.K.: Dla obu stron, jak sądzę.

N.P.: To na pewno.

J.K.: O czym jest „Mława Krasnaja”?

N.P.: To alternatywna historia w szerszym sensie, niż to zwykle rozumiemy. Zazwyczaj historię alternatywną pisze się ku pokrzepieniu serc, po to, żeby wygrać wojnę, którą kiedyś przegraliśmy. W Rosji bardzo popularne są książki o „popadancach”, czyli o ludziach, którzy cofnęli się w czasie. Modne jest walkowanie tematu, że nasi współcześni znaleźli się w Związku Radzieckim w 1941 i prowadzą go ku pełnemu zwycięstwu. My z Wierą Kamszą nie zmienialiśmy realnej historii. Zostawiliśmy ogólne tło i staraliśmy się pokazać zupełnie inne konflikty, opierając się tylko na historycznym charakterze tego czy innego narodu. Dlatego w powieści nie ma imperium rosyjskiego, tylko państwo rosyjskie. Chociaż pojawia się Napoleon Bonaparte i kilka postaci historycznych, to w większości bohaterowie są fikcyjni. Naszym podstawowym zadaniem było przedstawienie starcia cywilizacji. Staraliśmy się pokazać, że zarówno Polacy, jak i Rosjanie należą do jednej wielkiej słowiańskiej cywilizacji, która w poszczególnych częściach może rozwijać się zupełnie inaczej. Patrząc historycznie, to nie Słowianie szli na Zachód, to zupełnie inne nacje wymyśliły *Drang nach Osten* i wciąż mamy namacalne ślady tego ruchu. I dlatego napisaliśmy książkę o tym, że rozdzieleni starymi pretensjami nie przetrwamy. Chciałbym, żeby książka wywołała tu w Polsce dyskusję. Można długo snuć przypowieści o bogach i bohaterach, ale przychodzi czas, gdy o pewnych rzeczach trzeba mówić wprost.

J.K.: Dziękuję za rozmowę i mam nadzieję, że jednak poznamy kiedyś ciąg dalszy opowieści o mieczach i inne, niewydane jeszcze utwory.

N.P.: Bardzo dziękuję. ■

(Tłumaczenie: Agnieszka Chodkowska-Gyurics)

ANTOLOGIA ■■■■■

Powstały na podstawie powieści Davida Mitchella „Atlas chmur” to zbiór mniej lub bardziej powiązanych ze sobą historii. Utrzymane w różnych stylizacjach, opisujące wydarzenia z różnych czasów, nieraz nawiązują do siebie bezpośrednio (połączone postacią Sonmi wątki Nowego Seulu i postapokaliptyczny), niekiedy praktycznie wcale, jak choćby opowieść o niewolniku. Jedynym wspólnym elementem są bohaterowie, a raczej wcielający się w nich aktorzy, powracający w nowych wcieleniach, przykryci tonami makijażu.

Efekt jest ciekawy, bo stanowi miks wielu konwencji, od komedii, poprzez romans, aż po futurystyczną opowieść rodem z anime i wspomnianą wcześniej postapokalipsę. Co ciekawe, mimo tylu sprzeczności, historie te nie tylko się nie gryzą, ale wręcz doskonale uzupełniają. Raz jest bardzo zabawnie (opowieść o uciekającym przed zbierami wydawcy), raz dramatycznie (tragiczna miłość kompozytora i jego kochanka), raz wybuchowo (walka o prawa klonów w Nowym Seulu), raz sensacyjnie (dziennikarskie śledztwo w sprawie elektrowni atomowej).

Nowy film Wachowskich i Tykwera olśniewa świetną stroną wizualną, muzyką i rolą Bena Whishawa.

Kluczem był oczywiście montaż, który w „Atlasie...” jest świetny. Owszem, niektóre wątki są słabsze, a Tom Hanks bynajmniej nie jest w życiowej formie, ale umiejętne przeplatanie się historii doskonale maskuje wiele z niedoskonałości.

No i zdjęcia, przepiękne zdjęcia, od malowniczych scenarii morskich, po panoramę miasta przyszłości.

A także muzyka, zwłaszcza w wątku wydziedziczonego kompozytora (doskonały Ben Whishaw), który – aby zyskać sławę – zatrudnia się do pomocy wielkiego mistrza, którego czas już przeminął, a który ma ambicję stworzyć ostatnie arcydzieło. Tytułowy „Atlas chmur” to właśnie dzieło młodego Roberta, który prześcignął nim swojego mentora.

Film Wachowskich i Tykwera jest silny jako kolektyw. Osobno zebrane w nim opowieści raczej by nie zachwyciły – z wyjątkiem historii wydawcy i kompozytora – razem składają się zaś na jeden z ciekawszych obrazów tego roku.

Marcin Zwierchowski

ATLAS CHMUR (Cloud Atlas). Reżyseria i scenariusz: Tom Tykwer, Lana Wachowski, Andy Wachowski. Zdjęcia: John Toll, Frank Griebe. Muzyka: Reinhold Heil, Johnny Klimek, Tom Tykwer. Występują: Tom Hanks, Halle Berry, Ben Whishaw, Hugo Weaving, Jim Broadbent, Jim Sturgess. Hongkong, Niemcy, Singapur, USA 2012



KROK W TYŁ ■■■

Byłem entuzjastą zmian, jakie w sadze „Zmierzch” wprowadził Bill Condon. Dzięki niemu widzowie przestali śmiać się z filmu, a zaczęli z filmem – humor był zamierzony, a nie wynikał jedynie z nieporadności aktorów czy drętowych dialogów. I jakoś to się wszystko równoważyło; poprawiło się nawet aktorstwo Stewart i Pattinsona.

„Przed świtem. Część 2” jest jednak powrotem do korzeni, do kiczowatości i patosu tak przesadzonego, że aż żenującego. Sceny zamierzenie humorystyczne są ze dwie, reszta ewidentnie miała być na poważnie, ale coś nie wyszło. Ogólnie scenariusz niedomaga, jest w nim trochę nielogiczności, nie znajduje także uzasadnienia (poza finansowym) rozbicie ostatniego tomu na dwa filmy – najnowsza część to w dużej mierze parada stereotypowych postaci, popisujących się mocami w stylu X-Menów. Dużo się gada, trochę kręci w kółko, a w sumie wychodzi na to, że te blisko 120 minut to rozwleczone przygotowania do finałowej potyczki. Dobrze rozegraniej, ze świetnym twistem fabularnym, przynajmniej, ale zanim do tego dotrzemy, będziemy musieli znosić bijącą po oczach nieporadność filmowców.

Na wysokim poziomie, jak zawsze, jest oprawa muzyczna. Poza tym, trochę

Zakończenie wampirzej sagi powtarza wszystkie błędy poprzednich filmów serii. Znowu jest kiczowato.

amatorsko, czego symbolem pozostanie pierwszy wampirzy bieg Belli przez las, czyli machająca pokracznie kończynami Kristen Stewart, topornie nałożona na ekran z rozmytymi drzewami. Nie popisali się także spece od kostiumów (wampirzyce z Brazylii wyglądają, jakby urwały się z planu „Xeny”), no i reżyser, którego manipulowanie nastrojem było subtelne niczym kop w krocze – zwłaszcza hiperromantyczny flashback z dziejów miłości Belli i Edwarda, który wampirza żonka funduje swojemu mężowi. Kicz, kicz i jeszcze raz kicz. Ale tży fankom sagi wyciśnie.

Jednym słowem: zawód. Część pierwsza „Przed świtem” okazała się wypadkiem przy pracy, a szkoda, bo była zdecydowanie najlepszą w cyklu. Finał mógł utrzymać zwykłą tendencję, zamiast tego spikował ostro w dół. Aktorzy powrócili do starej nieporadności, w scenariuszu otworzyły się dziury, a Bella i Edward wrócili do kochania się spojrzaniami.

Tylko dla miłośników sagi.

Marcin Zwierchowski

PRZED ŚWITEM. CZĘŚĆ 2 (Breaking Dawn. Part 2). Reżyseria: Bill Condon. Scenariusz: Melissa Rosenberg. Zdjęcia: Guillermo Navarro. Muzyka: Carter Burwell. Występują: Robert Pattinson, Kirsten Stewart, Tyler Lautner. USA 2012



NA KRAWĘDZI ZAGŁADY



„Kolektyw” ma świetną grafiką, a zasada „mniej mówić, więcej pokazywać” pomogła scenariuszowi.

Największą wadą komiksów superbohaterskich była dla mnie zawsze strona wizualna. Poza nielicznymi wyjątkami, jak „Silver Surfer: Requiem”, odbijałem się od kreski Davida Fincha w „Avengers: Disassembled” czy Oliviera Coiplea i Mike’a Mayhewa w „Rodzie M”. Nie pasowała mi paleta kolorów, sprawiających, że wszystko wyglądało jak wykonane z plastiku.

W „New Avengers: Kolektyw” za rysunki, obok wspomnianego Coiplea, odpowiadali Steve McNiven oraz Mike Deodato Jr. Zmiana jakościowa jest

oszałamiająca. Nieco stonowane – w porównaniu do wymienianych wcześniej albumów o przygodach superbohaterów – kolory, połączone z ciekawą kompozycją kadrów składają się na piękny album, w którym długo można się wpatrywać w plansze przedstawiające narodziny ognistego mutantu, przejście jego mocy przez Ms. Marvel czy walkę z Sentyrm i Iron Manem. Są dynamiczne, świetnie operują napięciem, przede wszystkim zaś bardzo dobrze prowadzona jest postać tytułowego Kolektywu, czyli głównego zagrożenia w tym tomie (postać ta praktycznie nic nie mówi, bardzo ważne były więc mimika i mowa ciała).

Na pochwały zasługuje również autor scenariusza, Brian Michael Bendis, który prosty pomysł fabularny (pojawienie się bardzo potężnego mutantu, z którym muszą się zmierzyć New Avengers) wzbogacił o wiele ciekawych wątków pobocznych, jak choćby konflikt z Shield. Panował przy tym nad fabułą, dzięki czemu uniknął chaosu. Umiejętnie podważył również naszą wiarę we wszechmoc broniących Ziemi herosów, co bardzo dobrze wpłynęło na dramaturgię wydarzeń.

Z minusów mogę wymienić tylko niepotrzebnie wepchnięty na koniec albumu epizod z Czarną Wdową. Krótki, średnio ciekawy, w zasadzie sprawdzający się jedynie jako bonusik z dużą ilością naparzanek i popisami Iron Mana.

Ogólne wrażenie jest jednak jak najbardziej pozytywne, sam komiks zaostża zaś apetyt na kolejne albumy.

Marcin Zwierzchowski

NEW AVENGERS: KOLEKTYW. Scenariusz: Brian Michael Bendis. Rysunki: Steve McNiven, Mike Deodato, Olivier Coipel. Mucha Comics 2012. Cena 79,00 zł

